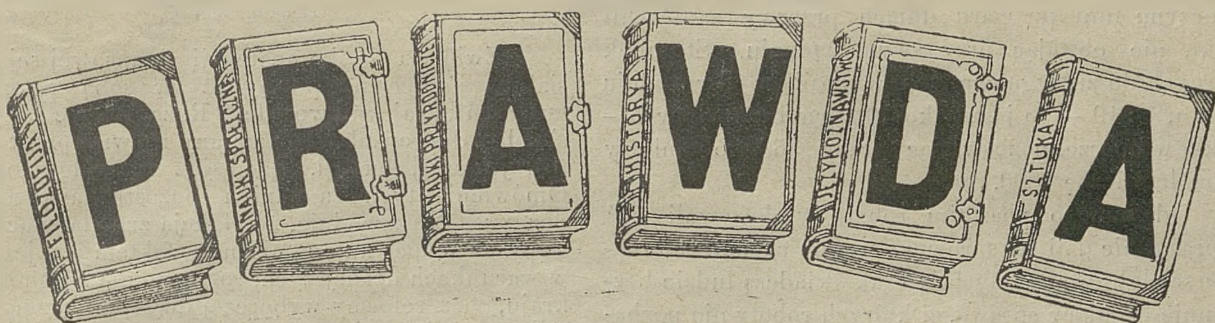
Nr. 35 (1494). Warszawa, 28. Sierpnia 1909 r. Rok XXIX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Lokaut budowlany.

Kiedy przed kilku laty w chwili przyśpieszonego gorączkowo tętna życia politycznego i rozniecenia różowych nadziei, nasz lud roboczy upominał się o korzyści ekonomiczne — posypały się gromy potępienia na niepatryjotyczną agitację, stawiającą interes klasowy, ponad dobro całego narodu.

Nikt dzisiaj — nie wyłączając ówczesnych przywódców stronnictw skrajnych, nie zechce apoteozować popełnionych błędów, ani też twierdzić, że żywiołowy ruch mas nigdy i nigdzie nie kierował się w błędne łożysko. — Jeżeli jednak o egoizm klasowy chodzi, to już wówczas uderzało w oczy, że był on obustronny i że nietylko solidaryzowanie się z ruchem robotników, lecz i przeciwdziałanie mu ze strony klas posiadających, tłumaczyło się egoistycznie klasowymi, a nie bezinteresownie narodowymi pobudkami. Jeżeli niesłusznie byłoby całość narodu poświęcać choćby tak licznej i ważnej jego grupie, jak klasa pracująca, to równie niewłaściwym było i jest postępowanie przeciwne, to jest utożsamianie dobra narodu z interesem klas posiadających — co u nas systematycznie czynić usiłowano.

Gdy po rozkwicie „wiosny" politycznej nastąpiła „zima" reakcji, nic nie powstrzymało zagrożonych poprzednio w swym stanie posiadania pracodawców od wyzyskania pomyślnej dla siebie konjunktury dla wyciśnięcia z niedoli i przygnębienia całego kraju możliwie jaknajwyższych korzyści dla siebie. Przy ogólnym rozbiciu i powszechnie panującej nędzy, przy drożyźnie i chronicznym bezrobociu masy robotniczej, dziesiątkowanej przez represje stanu wojennego, dezorganizującego życie gospodarcze kraju,nie wahano się systematycznymi lokautami gnębić do reszty lud roboczy, wymuszając na nim stopniowo zrzeczenie się wszystkich poprzednio osiągniętych zdobyczy. Lokaut łódzki był może kulminacyjnym punktem tej bezwzględnej walki klasowej, tego strasznego odwetu, w którym zaiste — trudno już było identyfikować dobro narodu z dobrem pracodawców.

Obecny lokaut mularski jest aż nadto charakterystycznym nowym objawem tej walki wszczynanej z zupełnym pominięciem względów dobra ogólnego, którymi panowie przedsiębiorcy tak chętnie pokrywać próbują swoje spekulacje.

Na szczęście tym razem zbyt już wyraźnie akcja ich godziła w zagrożone interesy ogółu, zbyt dotkliwymi groziła następstwami, by na poparcie opinji publicznej, na jej obałamucenie pustymi frazesami liczyć mogli. Z małymi wyjątkami—a tu godzi się wymienić *Kurjer Warszawski* — cała prasa polska poparła robotników, którzy w tym wypadku, nawet nie mogli być oskarżani o egoizm i interesowność, gdyż opór ich był oczywiście podyktowany wyłącznie społecznymi względami i szedł w parze ze zrzeczeniem się osobistych korzyści. Zamiast zwiększyć swe dochody o cenę jednej godziny pracy ponad normę woleli oni ustąpić zarobku kolegom pozbawionym pracy. Dali więc dowód poczucia solidarności i wyrobienia społecznego, które im zaszczyt przynosi.

Przedsiębiorcy budowlani posługując się w swej obronie fałszywymi insynuacjami, jakoby mniejszość pod wpływem agitatorów teroryzowała chcącą pracować większość, co okazało się czystym zmyśleniem, gdyż żadnych agitatorów nie było, skompromitowali do reszty w oczach ogółu zarówno swój mniemany patryjotyzm jak i swoją etykę, a w przeciwstawianiu swego interesu klasowego nietylko dobru ale bezpieczeństwu i spokojowi publicznemu posunęli się — zaprawdę — poza wybaczalne granice.

Słuszność przyznać nakazuje, że zarzut ten nie odnosi się do ogółu przedsiębiorców budowlanych. Niektórzy z nich wcale nie przerywali robót, godząc się odrazu z ustanowionym 8-mio godzinnym dniem roboczym; inni po paru dniach przerwy zaniechali walki, nie obstając przy swym żądaniu. Stosunek opornych do zrezygnowanych wynosił w 8-ym dniu lokautu 1 : 10 — to jest tylko 10% firm budowlanych—trwało w oporze, pozbawiając pracy 359 robotników na ogólną liczbę 1800.

Od samego początku robotnicy okazywali chęć do pracy, nie dali się sprowokować do czynów nierozważnych lub gwałtownych, a—jak świadczą ludzie bezstronnie badający sprawę, ci których roboty nie pozbawiano, intensywnością swej pracy dawali gwarancję, że 8-miogodzinny dzień roboczy nie opóźni wykończenia budowli, że zatym nie były pustą przechwałką składane pracodawcom w chwili wybuchu zatargu obietnice.

W takich warunkach wszczęty lokaut musi się skończyć zwycięstwem robotników a kapitulacją przedsiębiorców, którym w tym wypadku chodziło o zasadnicze postawienie na swoim, o stwierdzenie, że jako strona silniejsza mogą dyktować prawa, zdanym na ich łaskę i niełaskę i zgnębionym kilku latami zastoju siłom roboczym.

Pomyślny wynik lokautu nie powinien nas jednak łudzić. Nie można go przypisać zwiększonemu poczuciu sprawiedliwości, ani wyrobieniu opinji publicznej. Lichwa mieszkaniowa zaostrzyła jej czujność w tym wypadku i wiele zagrożonych interesów sprzymierzyło się przeciw lidze przedsiębiorców. Fakt ten jednak powinien być przestrogą by i w bardziej skomplikowanych zatargach nie iść na lep patryjotycznych i kaznodziejskich frazesów i nie uważać za najlepszych obrońców dobra publicznego tych, którzy się nimi sami obwołują.

Autonomja Galicji a reforma wyborcza do sejmu krajowego.

(Dokończenie).

Zwiększenie kompetencji finansowej sejmu musiałoby koniecznie pociągnąć za sobą rozszerzenie autonomji krajowej wogóle. Rozszerzenie zaś jej musiałoby doprowadzić do zmiany prawno-państwowego ustroju całej Austrji, jeżeli już nie całej monarchji. Omówienie tych zagadnień pozostawiam sobie na później. Niezawodnie, że Galicja zrobiła znaczne postępy w epoce autonomicznej, faktem jest jednak, że w warunkach dzisiejszych, rozszerzenie autonomji tego kraju, bez reformy wyborczej do sejmu, wzmocniłoby tylko żywioły konserwatywne i utrudniło dalszy postęp.

Austrja właściwa a także niektóre inne kraje koronne jak np. Czechy, Morawy, Śląsk demokratyzują się szybciej od Galicji, skutkiem tego że struktura ich gospodarcza i klasowa jest postępowszą niż w naszym kraju. Poza tym system wyborczy do parlamentu centralnego jest dziś demokratyczny, a do sejmu galicyjskiego konserwatywny, zapewniający panowanie żywiołom wstecznym. Zreformowanie galicyjskiej ustawy wyborczej do sejmu złamie przewagę żywiołów zacofanych, i chociaż nie zrówna naszego układu społecznego z tym jaki widzimy w przemysłowych krajach koronnych, ta jednak zmniejszy znacznie przepaść kulturalną i socjalno-polityczną oddzielającą ją od Galicji. Kwestja więc dalszego rozwoju autonomji naszego kraju, i wszystkich wynikających z niej skutków w ścisłym znajduje się związku ze sprawą reformy wyborczej do sejmu.

II.

Istniejący system wyborczy do sejmu galicyjskiego jest krzyczącym anachronizmem, urągającym najelementarniejszym zasadom sprawiedliwości.

Jak wiadomo jednoizbowy sejm galicyjski składa się z czterech kurji:

wielkiej własności ziemskiej mającej	44	posłów
izb handlow. i przemysłowych	„ 3	„
miast	„ 28	„
gmin wiejskich	„ 74	„

Oprócz tego w sejmie zasiada z urzędu: 3 arcybiskupów lwowskich (rzymsko-katolicki, grecko-kato-

---

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

I.

Dzieciństwo moje jaśniało swobodą i poczuciem siły. Napróżno usiłuję wskrzesić je w pamięci. Widzę się dziewczynką sześcio, siedmioletnią, lecz jak gdyby we śnie, który najmniejsze dotknięcie rzeczywistości rozwiać może.

Nieraz uważałam pierwsze lata swego dzieciństwa za prawdziwie szczęśliwy, doskonały okres życia. Teraz jednak widzę, że nawet w najmłodszych mych latach, jakiś cień niepewny unosił się nademną i zdaje mi się, że już od dziecka musiałam czuć się niezupełnie szczęśliwą. A jednak wszystkie warunki mi sprzyjały. Byłam najstarszą z rodzeństwa, miałam przewagę nad siostrzyczkami i braciszkiem. Ojciec dawał mi pierwszeństwo i pojmowałam, że pragnął wychować mnie coraz lepiej. Miałam zdrowie, wdzięk, inteligiencję, jak mi mówiono, miałam zabawki, słodycze, książki i kawałek własnego ogrodu. Mama nie sprzeciwiała się nigdy moim pragnieniom. Nawet przyjaciółki poddawały mi się dobrowolnie.

Jedynie miłość dla ojca panowała nademną. Matkę kochałam, lecz ojca ubóstwiałam bez granic i z różnicy tej zdawałam sobie sprawę. Ojciec był jasnym przykładem dla mej budzącej się indywidualności; instynktownie czułam, że urok jego był dla mnie zbawiennym. Nikt nie był podobny do niego; wiedział wszystko i miał zawsze słuszność. Całymi godzinami nieraz spacerowałam z nim po mieście lub poza miastem. Opowiadał mi wtedy o dziadkach, którzy zmarli wkrótce po moim przyjściu na świat, o swej młodości, o swych nadzwyczajnych przedsięwzięciach dziecięcych, o wojsku francuskim, które widział, mając lat osiem,jak wkraczało do jego ukochanego Turynu „kiedy jeszcze nie było Włoch”.

Opowiadania jego miały dla mnie jakiś urok fan-

licki i ormiański), 3 biskupów łacińskich, (tarnowski, przemyski i krakowski) 2 biskupów grecko-katolickich (przemyski i stanisławowski), rektor politechniki lwowskiej i prezes akademji umiejętności. Zasiadających z urzędu jest więc 12. W czwartej kurji wybory są dwustopniowe, w trzech pierwszych bezpośrednie. Głosowanie jest jawne.

System wyborczy do sejmu galicyjskiego daje ogromną przewagę wielkim właścicielom ziemskim i wyłącza zupełnie proletarjat. Jawność wyborów daje też przewagę klasom posiadającym i rządowi.

Zniesienie tego przestarzałego systemu wyborczego jest pierwszym warunkiem normalnego rozwoju stosunków autonomicznych w Galicji. Niestety wszelka próba dalej idącej reformy w tym kierunku natrafia na zacięty opór konserwatystów różnych odcieni. Jedynie słusznym byłoby zaprowadzenie równego, powszechnego, bezpośredniego i tajnego głosowania. Nienależy się jednak łudzić, aby taka reforma przeszła w dzisiejszym konserwatywnym sejmie, bez wyjątkowego nacisku z dołu, albo z góry.

Sejm galicyjski, w latach poprzedzających ostatnią reformę wyborczą do parlamentu, odrzucał wnioski zmierzające do zaprowadzenia piątej kurji na wzór istniejącej poprzednio w parlamencie. Najbardziej wymowne argumenty opozycji, nie wywierały żadnego wpływu na większość sejmową trzymającą się uparcie odpornie wobec reform zagrażających jej panowaniu.

Rząd centralny zajmuje wobec reformy wyborczej do sejmu stanowisko przychylne, o ile nie będzie ona polegać na zaprowadzeniu równego, powszechnego, tajnego i bezpośredniego prawa głosowania. Stanowisko takie rządu jest wynikiem dwu okoliczności: po pierwsze, pragnie on, aby szerokie koła ludności większe miały zaufanie do demokratycznego parlamentu niż do sejmu, i dlatego woli, aby ten zachował w pewnym stopniu charakter konserwatywny, po drugie, obiecał on konserwatywnym posłom polskim i innym, przed uchwaleniem reformy wyborczej do parlamentu,że opierać się będzie zaprowadzeniu analogicznej do sejmów; obietnica ta miała na celu zjednanie żywiołów zachowawczych dla powszechnego głosowania do Rady Państwa.

Wprawdzie stanowcze żądanie kraju i sejmu, powtórzone kilkakrotnie, mogłoby złamać opór rządu, ale konserwatywny sejm galicyjski żądania takiego nie wypowie. Co więcej obawiać się można: że w czasie najbliższym zwlekać będzie wogóle z reformą wyborczą, chcąc poprzednio w obecnym składzie posłów przeprowadzić reformę administracyjną w interesach wielkich właścicieli ziemskich. Z dotychczasowego przebiegu sprawy reformy wyborczej do sejmu widać, że żadne ze stronnictw mających w nim reprezentantów nie pragnie na serjo powszechnego, równego tajnego i bezpośredniego prawa głosowania. Demokraci różnych odcieni chcą np. je „poprawić" przez rozmaite uzupełnienia, zapewniające grupom zawodowym reprezentantów. Taka poprawka powszechnego głosowania miałaby na celu złagodzenie opozycji wielkich właścicieli ziemskich przez zapewnienie im nieproporcjonalnie dużej ilości głosów. Ale nawet ludowcy w sejmie z panem Stapińskim na czele nie pragną powszechnego prawa głosowania w czystej formie, chcą bowiem, aby koniecznie stosunek posłów rusińskich do polskich w sejmie był ten sam co w parlamencie. W praktyce wymaga to sztucznie wykrajanych okręgów wyborczych, jakie istnieją przy wyborach do Rady państwa. Otóż jeżeli chodzi istotnie o zabezpieczenie słusznych praw mniejszości, to domagać się należy wogóle zaprowadzenia wyborów proporcjonalnych w całej Galicji, a nie szukać ratunku w gieografji wyborczej w jednej tylko części kraju.

Najprawdopodobniej sejm uchwali: wybory powszechne z dodatkiem kurji zawodowych, które wypaczą reformę; albo też zaprowadzenie V-ej kurji z powszechnymi wyborami, dając jej małą ilość przedstawicieli.

Tylko socjaliści i Rusini chcą naprawdę powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego prawa głosowania. Inne stronnictwa są mu albo zasadniczo przeciwne jak konserwatyści, albo godzą się na nie tylko częściowo.

Demokraci różnych odcieni obawiają się tej reformy ze względów nacjonalistycznych, sądząc że znaczne zwiększenie się liczby posłów rusińskich wpłynie ujemnie na nasze sprawy. Ta obawa wzmożenia się sił ruchu rusińskiego jest ogromnie szkodliwą, gdyż pcha fatalnie żywioły demokratyczne w objęcia konserwatystów i utrudnia wszelkie głębsze reformy. Zobaczymy w artykułach następnych, że oddziaływa ona równie ujemnie i w sprawie reformy administracyjnej.

Kwestja rusińska w Galicji ma olbrzymie znaczenie i wpływ jej ujawnia się we wszystkich sferach życia społeczno-politycznego.

Tylko silny nacisk z dołu na większość sejmową, mógłby pobudzić ją do daleko idących ustępstw. Nacisk jednak taki, aby być skutecznym, musiałby objąć

---

tastyczny; i on był przy mnie, wysoki, smukły o ruchach szybkich, z tryumfującym uśmiechem. W chwilach takich jutro wydawało mi się pełnym obiecujących przygód.

Ojciec kierował mą nauką i wyborem książek, nie wymagając odemnie zbytniego wysiłku. Nauczycielki, kiedy odwiedzały nas, słuchały go uważnie, a nieraz zdawało mi się, ze zdumieniem i poddaniem się. W szkole byłam jedną z pierwszych, często zastanawiałam się, czy nie byłam uprzywilejowaną. Od pierwszych klas, zauważywszy różnicę ubrań i posiłków, zdawałam sobie sprawę czym było wiele rodzin moich towarzyszek: rodzin przeciążonych pracą robotników i ordynarnych sklepikarzy. Wracając do domu, przyglądałam się przybitej na drzwiach błyszczącej tabliczce, na której nazwisko ojca mego poprzedzone było tytułem.

Miałam lat pięć, gdy ojciec mój, wykładający, w maleńkim miasteczku, w którym urodziłam się, nauki przyrodnicze, w chwili rozdrażnienia podał się do dymisji i zawarł spółkę ze szwagrem swym z Medjolanu, właścicielem wielkiego domu handlowego. Czułam że nie był zbyt zadowolny z nowego swego stanowiska. Kiedy widziałam go w niektóre wolne popołudnia, wchodzącego do pokoiku, w którym były w nieładzie zebrane różne przyrządy do doświadczeń fizycznych i chemicznych — pojmowałam, że tam tylko czuł się dobrze. Iluż rzeczy nauczyłby mnie ojciec!

Ciekawość moja natężała mą egzystencję. Nie nudziłam się nigdy. Często wymawiałam się od towarzyszenia matce w odwiedzinach i pozostawałam w domu zagłębiona w fotelu, czytając chciwie najrozmaitsze książki, często niezrozumiałe dla mnie. Niektóre z nich upajały mą wyobraźnię i odrywały mnie od siebie samej. Jeśli przerywałam czytanie, to poto tylko, by formułować swe myśli szeptem, jakby skandując wiersze, które wewnętrzny głos mi dyktował. Rumieniłam się wówczas, tak jak wtedy, gdy przybierałam pewne omdlałe pozy, zamieniając się w wyobraźni na „piękną damę", pełną powabu. Czyż mogłam odróżnić przesadę od prostoty? Ojciec mój sądził każdy objaw poezji z pogardliwą obojętnością; mówił, iż nie rozumie jej. Matka moja przeciwnie, od czasu do czasu powtarzała jakąś tęskną i smętną strofę, lub namiętnym głosem nuciła stare romanse, lecz zawsze w nieobecności ojca. I zawsze gotowa byłam sądzić, że ojciec miał więcej słuszności niż ona.

Tak samo, gdy miewał ataki gniewu, które

szerokie koła ludności miast i wsi; musiałby być dziełem socjalistów, Rusinów i ludowców. Koalicja taka jednak w najbliższej przyszłości nie jest możliwą. Ludowcy są rozdwojeni, prawe ich skrzydło nie zdradza chęci energicznej walki o reformę wyborczą. A stronnictwo zaś jako całość niezdecydowałoby się działać w porozumieniu z Rusinami, obawiając się aby nie zrobiono mu zarzutu, że jest „nienarodowe". Znaczna część ludowców, a nawet większość zajmuje w kwestji rusińskiej stanowisko niezdecydowane, zbliżone niekiedy bardzo do czysto nacjonalistycznego.

Wobec tego sprawa reformy wyborczej do sejmu znajduje się obecnie na złej drodze. Sejm niedługo się zbierze, a tymczasem nikt się nią nie zajmuje. Dalsze odwlekanie tej reformy pociągnie za sobą odroczenie rozwiązania całego szeregu spraw pierwszorzędnej wagi.

Ludwik Kulczycki.

W sprawie polsko-rusińskiej.

(Wywiad polityczny).

Niejednokrotnie wypowiadaliśmy w tej sprawie pogląd obozu postępowego; oświetlaliśmy ją z punktu widzenia haseł równouprawnienia wszystkich narodowości, a w szczególności mniejszości narodowych. Artykuły nasze wypływały nietylko z ogólnych haseł programowych, ale nadto oparte były na informacjach, zbieranych u źródła. Sądziliśmy i sądzimy, że załatwienie tej sprawy stanowić będzie epokę w stosunkach galicyjskich i ułatwi wogóle rozwiązanie sprawy narodowościowej w Austrji.

Spór polsko-rusiński zaognił się, ale właśnie dlatego należy raz z męzką odwagą sprawę tę podjąć i znaleźć jej rozwiązanie. Dziś, kiedy widmo krwi przelanej na osobie namiestnika Potockiego i widmo szubienicy dla Siczyńskiego przestały drażnić obie strony, kiedy czynione są usiłowania pogodzenia zwaśnionych ludów monarchji austryjackiej, wybiła godzina i dla tej sprawy. Delegaci postępowi podnosili ją już w Pradze i zwracali uwagę na niezgodność haseł neoslawizmu z nieobecnością delegatów rusińskich. Wracamy i my do niej, aby przytoczyć opinje jednego z działaczów politycznych obozu rusińskiego w Galicji, blizko stojącego sfer kierowniczych i niewątpliwie miarodajnego.

Zdaniem jego wpływ obozu starorusińskiego, czyli t. z. moskalofilskiego upadł zupełnie i nie znajduje poprzedniego poparcia. Przyjmowali oni udział w zjeździe praskim, byli popierani przez namiestnika Potockiego i sfery kierownicze rady narodowej, miał nawet stanąć pakt, zapewniający im wolność szerzenia swoich haseł i wcielania ich w życie za pomocą tworzenia upragnionych przez nich instytucyj oświatowych. Ztąd rozgoryczenie w pozostałych odłamach obozu rusińskiego, walka, mord Siczyńskiego i wszystkie dalsze konsekwencje, które rozmówca uważa za nieszczęście, dla obu stron walczących Dziś jednak rany się zabliźniają i można przystąpić, jeżeli nie do rozwiązania sprawy, to przynajmniej do spokojnego rozważenia zasad, na jakich możliwem by było zgodne współżycie obu narodowości. A więc naprzód w dziedzinie szkolnictwa. Szkolnictwo ludowe nie nastręcza poważnych różnic na niekorzyść ludu ruskiego i potrzeby obu narodowości zaspakajane są niemal że równomiernie. Szkoły ludowe jednoklasowe mają natomiast inny brak, a mianowicie nie dają dostatecznego przygotowania do nauki gimnazjalnej i utrudniają przyjęcie do szkół średnich. Rząd austryjacki obawia się, aby z najuboższych sfer ludności nie wytworzyła się hyperprodukcja inteligiencji. Zasada ta zwalczaną być musi nietylko w interesie ludności rusińskiej. W dziedzinie szkolnictwa średniego Rusini posiadają tylko pięć gimnazjów i jedną paralelkę, czyli w stosunku jednego na 500,000 ludności, podczas gdy jedno gimnazjum polskie przypada na 80,000 ludności. Seminarja są utrakwistyczne, a szkół wydziałowych niema wcale. Wreszcie potrzebom umysłowym i kulturalnym ludu ruskiego nie czyni zadość Uniwersytet lwowski z niektórymi katedrami ruskimi. Tylko utworzenie samoistnego uniwersytetu ruskiego usunęłoby raz na zawsze wrzenie i zatargi pomiędzy młodzieżą. Uniwersytet taki czyniłby zadość potrzebie tylko we Lwowie, gdyż tylko tam istnieją należyte pomoce naukowe i bibljoteki, a młodzież uniwersytecka mogłaby znaleźć sposób zarobkowania w biurach lub w charakterze korepetytorów. Rusinom chodzi o trzy tylko wydziały: teologiczny, filozoficzny i prawny. W epoce przejściowej t. j. do czasu przygotowania odpowiednich kadrów profesorskich, kandydaci zdobywaliby wiedzę i zaprawiali się do przyszłego zawodu w obecnym uniwersytecie polskim, który z chwilą otwarcia uniwersytetu ruskiego stałby się wyłącznie polskim.

W dziedzinie urzędów i władz administracyj-

---

wszystkich przerażały a mnie wprawiały w stan gwałtownego niepokoju. Mama wstrzymywała łzy i zamykała się w swym pokoju. Często wobec ojca była pokorną i lekko przestraszoną i nietylko dla mnie lecz i dla mego rodzeństwa pojęcie władzy koncentrowało się w osobie ojca.

Poważne spory nigdy między nimi nie miały miejsca w naszej obecności; kilka słów szorstkich, jakaś ostra wymówka, krótki rozkaz. Ojciec poddawał się swemu gwałtownemu usposobieniu z przyczyny jakiejś psoty dzieci; za wszystko jednak odpowiadała matka moja, która przechylała głowę jakby nagle opanowana ogromnym zmęczeniem, lub uśmiechała się uśmiechem, którego znieść nie mogłam, bo wykrzywiał jej piękne zrezygnowane usta.

Czy biegła myślą w przeszłość?

Nie wspominała prawie nigdy przy mnie swego dzieciństwa, swej młodości; z tego co słyszałam, wytworzyłam sobie pojęcie o wiele mniej ciekawe od tego, jakie wywoływały wspomnienia ojca. Urodziła się w skromnym środowisku urzędników, i jak moja babka ze strony ojca, jej matka miała wiele dzieci, z których większa część rozproszyła się po świecie. Jak się zdaje wzrastała w niedostatku, niezbyt kochana. Kiedy miała lat dwadzieścia, na wieczorku tańcującym poznała swego przyszłego męża. Pokazywała mi fotografję młodzieńca bez zarostu, jakim był wtedy ojciec: rysy dziecka jeszcze, słodkie, regularne; lecz oczy już wtenczas wyrażały żelazną wolę i energję; był na ostatnim kursie uniwersytetu. Zaledwie skończył go, otrzymał katedrę i pobrali się.

Kiedy przyszłam na świat, rok jeszcze nie upłynął od dnia ich ślubu. Biała i czysta twarz matki rozjaśniała się na wspomnienie dwuch umeblowanych pokojów, w których spędzili pierwsze miesiące swego pożycia małżeńskiego. Czemu nie była zawsze tak ożywiona? Czemu była tak skłonna do płaczu, podczas gdy ojciec nie mógł znieść widoku łez i dlaczego zdradzała poglądy tak różne od jego poglądów, ilekroć ośmielała się je wypowiedzieć? Dlaczego my, dzieci, byłyśmy tak względem niej nieposłuszne? Jak ojciec, tak i ona nieraz wpadała w gniew, lecz wyglądał on raczej, jak zbyt długo hamowane łkanie. Miałam wrażenie, że nawet przesadny gniew mego ojca był zawsze naturalnym, zgodnym z jego temperamentem, wybuchy zaś złego humoru matki przeciwko dzieciom lub służbie, stanowiły bolesny kontrast z jej

nych obowiązuje przepis, że za krajowe uznawać należy oba języki, rusiński i polski, za urzędowy jednak w całej Galicji uznany jest język polski. Gdyby język rusiński w Galicji wschodniej był szanowany i żadne utrudnienia czynione nie były, Rusini mogliby się z istniejącym przepisem pogodzić. Należałoby jednak otworzyć im dostęp i do urzędów politycznych w większym zakresie. Obecnie w ciągu dwuch lat ostatnich zamianowano zaledwie 2 urzędników politycznych.

Przepis co do języka urzędowego i krajowych obowiązuje i w sądownictwie. Wynika z niego, że sądownicy w Galicji wschodniej winni znać oba języki. Tymczasem urzędnicy sądowi przeważnie nie znają języka rusińskiego. Stąd utrudnienia, a nawet szykanowanie żywiołu rusińskiego. Zdarzało się, że przewodniczący w sprawie Rusina, przy udziale świadków Rusinów i ruskiej ławy chciał stawiać pytania przysięgłym w dwuch językach, sprzeciwiali się temu jednak prokurator i radcowie i pytania stawiane były tylko w języku polskim. Jakkolwiek strony w procesie mają prawo żądać załatwienia podań w języku ruskim, rzadko mogą to wywalczyć.

W sprawie reformy wyborczej do sejmu Rusini w zasadzie są za czteroprzymiotnikowym głosowaniem, podczas gdy ludowcy zgadzają się na powszechne, ale nie równe prawo wyborcze, a obóz wszechpolski pragnąłby dać inteligiencji miejskiej głosy pluralne i stworzyć z mniejszości polskich samoistne okręgi wyborcze.

W ten sposób Rusini mogliby wejść do sejmu w takim samym stosunku, jak do parlamentu (mniej niż $^1/_4$). Żądanie Rusinów nie jest wygórowane; pragnęliby posiadać w sejmie więcej choćby o jeden głos ponad $^1/_3$, tak aby nie byli zupełnie zmajoryzowani. W zarządzie kraju Rusini dążą do utworzenia posady wicenamiestnika Rusina. Nie chodzi o wydarcie władzy namiestnikowi, który mógłby prowadzić politykę samoistnie, ale o to, aby wicenamiestnik był tłumaczem życzeń i potrzeb rusińskich i doradcą namiestnika, a jednocześnie bronił urzędników i funkcjonarjuszów rusińskich od presji ze strony organów polskich. Projekt ten był już podnoszony za czasów namiestnika Potockiego, który jednak nie dał mu życzliwego poparcia.

Sprawę hasła „Lachy za San" rozmówca tłumaczy w ten sposób, że to było hasło bojowe, hasło rozpaczy. Głosiły go elementy radykalne, spowodowane niejako gorączką walki. Nie jest to jednak ani program, ani żądanie, zwłaszcza jeżeli chodzi o porozumienie i zgodę. Rusini zadowolniliby się, aby Polacy mieli głos stanowczy w Galicji zachodniej, a we wschodniej obie narodowości wyrokowały wspólnie. W ten sposób uniknęłoby się takich anomalji, jak np. że mniejszość polska 15 lub 20% otrzymuje gimnazjum polskie, a większość uzyskać go nie może.

W związku ze sprawą polsko-rusińską stoją i inne kwestje, aktualne dziś w monarchji Habsburskiej, a w pierwszym rzędzie sprawa większości słowiańskiej w parlamencie austryjackim. Rusini nie wstąpili do unji słowiańskiej, gdyż unja nie uznawała ich jako samoistnej narodowości, a co najważniejsza nie wytworzyła stałego programu idejowego. Unję i klub rusiński łączy tylko sprawa obalenia dzisiejszego słabego i nieumiejętnego rządu, wrogo usposobionego przeciwko Słowianom. Prezydjum koła rusińskiego zwracało na to uwagę przywódcom unji i gotowe jest działać z nią od wypadku do wypadku. Unja jest zagrożoną z innej strony. Rząd usiłuje odciągnąć od klubu Słoweńców postępowych oraz agrarjuszów i konserwatystów czeskich, a wtedy nawet z udziałem Rusinów unja nie osiągnie większości. Obóz polski skłania Rusinów do sojuszu z Niemcami, ostrzega przed Czechami, którym unja dogadza tylko dla osiągnięcia egoistycznych celów narodowych, ale ta droga jest niemożliwa, dopóki postulaty rusińskie w jakikolwiek sposób rozstrzygnięte nie zostaną. W rezultacie Rusini zachowują wolną rękę, ale nie odbiegają od kontraktu z unią.

Konferencja przewodniczących klubów, zwołana przez Głąbińskiego na 17 b. m. [1]), a właściwie inicyowana przez ministra Bilińskiego w imieniu rządu, nie osiągnie rezultatu. Rusini muszą zaraz na pierwszem posiedzeniu powiedzieć Polakom, aby zaczęli kurację od siebie i przedewszystkiem załatwili spór domowy. Z koleji czekają załatwienia spory: słoweńsko-chorwacki, niemiecko-włoski i niemiecko-czeski. Przeciwko uzdrowieniu parlamentu i ugodzie Czechów z Niemcami Rusini nie mają nic; nie jest to jednak najpilniejsza dla nich sprawa. Czesi, stanowiący większość kraju, mogą Niemcom zrobić koncesje i ustępstwa i to w kołach parlamentarnych, bez udziału sejmu, ale zdolność parlamentu do pracy zawisła i od sprawy rusińskiej. Gdyby obstrukcja Czechów i unji ustała, wynikłaby obstrukcja Rusinów. 100 wniosków nagłych było już

[1]) Informacje udzielone zostały przed tą datą.

---

słodkim usposobieniem, objawiały się jak ataki nerwowe, które później sobie wyrzucała.

Ileż razy widziałam piękne, głębokie, ciemne oczy mej matki błyszczące od łez! To, co wzbudzały one we mnie nie było ani litością, ani bólem, ani nawet rzeczywistym upokorzeniem, lecz raczej gniewem na niemożność przeciwdziałania im. Mając zaledwie ośm lat, czułam dziwny żal, że nie mam matki prawdziwej, jednej z tych matek, dających swym córkom wraz z miłością, radosną pewność tkliwej opieki. W dwa, trzy lata później do żalu tego przyłączyła się świadomość, że nie kocham matki tak, jakby tego pragnęło moje serce. To zapewne przeszkadzało mi odgadnąć powód, ciągłego jej nieokreślonego smutku, który mroził na mych ustach swobodny rozkwit uśmiecha. Oh, móc rzucić się raz jeden na jej piersi z zupełnym oddaniem, czuć się zrozumianą przez nią, obiecać jej swą opiekę i pomoc, gdy dorosnę, zawrzeć przymierze czułości, jak to zrobiłam milcząco z ojcem od czasów niepamiętnych!

Zachwycała się mną w milczeniu, przenosząc na mnie część duszy, odczuwanej z powodu śmiałej energji męża; lecz nie pochwalała systemu mego wychowania, któremu poddawałam się z taką przyjemnością. Obawiała się o mnie, wyobrażając sobie, że rosnąć będę bez uczucia, że żyć będę tylko mózgiem i nie miała odwagi otwarcie sprzeciwić się dziełu ojca.

Jednocześnie z życiem zewnętrznym, pogłębiało się me życie wewnętrzne tajemnicze dla wszystkich. Zdawałam sobie sprawę z tego rozdwojenia. Od pierwszego roku szkolnego niepokoiły mnie dwie różne moje osobowości: w szkole wszyscy uważali mnie za anielską, i rzeczywiście byłam dobrą i przykładną, z twarzyczką spokojną, po której błądził zawsze nieśmiały i żywy zarazem uśmiech; poza szkołą jednak, na ulicy, zmieniałam się zupełnie; zaczynałam skakać, paplać co mi tylko na myśl przyszło i wraz ze mną do domu wbiegał szum, hałas i siostrzyczki zaprzestawały swych spokojnych zabaw, gotowe na rozkazy upartej samowładczyni.

Z nadejściem pory odrabiania zadań szkolnych, chowałam się w swym pokoiku, lub do jakiegoś kąta ogrodu, i znowu przepadałam dla wszystkich, opanowana żądzą pracy, bez cienia ambicji prześcignięcia koleżanek i uzyskania pochwały. Wieczorem zaś, gdy mama kazała powiedzieć mi, w naszym drogim narzeczu, kilka słów modlitwy: „Panie, pozwól mi dorosnąć i stać się dobrą na pociechę rodziców moich" i gdy

przygotowanych i to z powodu zupełnie innego. W parlamencie miała być postawioną sprawa odnowienia traktatów handlowych z Bułgarją, Rumunją i Serbją a w szczególności obniżenia ceł na zboże i bydło, spowodowana koniecznością skierowania przemysłu austryjackiego na Bałkany, wobec przewagi jakościowej przemysłu francuskiego i angielskiego, taniości wyrobów niemieckich i ceł protekcyjnych w Rosji. Rolnik rusiński doświadcza klęsk od lat 20, zboża na zbyt nie posiada, często go dokupuje i nizkie cła na zboże krzywdy mu nie wyrządzają. Natomiast hohowla bydła jest całym jego ratunkiem, a wwóz wołów z Rumunji i nierogacizny z Serbji odbijają się na nim rujnująco. W sprawie tej stanowisko Rusinów jest sprzeczne z poglądem socjalistów, którym chodzi a tani chleb i mięso dla robotników. Rząd sam obliczył, że strata dla krajów monarchji z tego tytułu wyniosłaby 6,000,000 koron i przeznacza taką sumę na odszkodowanie rolników, z czego 1,400,000 kor. przypadłoby na Galicję. Nie chcąc zależeć od sejmu galicyjskiego i Tow. Rolniczego, Rusini zażądali od prezydenta ministrów Bienertha podziału tej kwoty przez rząd lub osoby, choćby najbardziej interesowane bez udziału sejmu. Energiczne veto ze strony polskiej już miało wywołać obstrukcję, gdy parlament został odroczony.

Rusini nie dążą do rozbicia parlamentu i odium tego na siebie ściągnąć nie chcą, jakkolwiek parlament obecny, który wyszedł z głosowania powszechnego, zawiódł nadzieje w nim pokładane, nie wzniósł się do poziomu haseł idejowych i zaspokojenia słusznych potrzeb kulturalnych wszystkich narodowości w państwie, owszem toleruje ucisk mniejszości przez narodowości silniejsze i głosi hasła partyjne. Nie odsuwają się od akcji pośredniczącej Głąbińskiego, ale w nią nie wierzą.

W sprawie Bośni i Hercogowiny Rusini są zdania, że kwestja Banku parcelacyjnego nie została załatwioną zgodnie ze słusznością. Minister Biliński miał jakoby zamiar utworzenia Banku państwowego, którýby parcelację przeprowadził, ale projekt jego rozbił się, gdy p.p. Weckerle i Burian okazali mu uzyskany już wcześniej od monarchy przywilej Banku węgierskiego. Od tej chwili minister Biliński ratował już tylko sytuację, wprowadzając klauzule i korektury do samego tekstu prawa. Niewątpliwie jednak jako minister konstytucyjny winien był postawić kwestję jasno i wyprowadzić wszystkie konsekwencje z tego faktu. Prawnopolityczne stanowisko Bośni i Hercogowiny jest jeszcze sporne. Węgrzy uważają je za kraje korony św. Stefana, rząd austryjacki zgodziłby się, aby obie te prowincje pozostały pod wspólnym zarządem obu połów monarchji. Przyłączenie ich do Chorwacji w rezultacie wzmocniłoby tylko Węgry i dlatego Rusini nie będą oponowali przeciwko projektowi rządowemu, oczywiście z nadaniem zabranym prowincjom szerokiego ustroju autonomicznego i własnego sejmu.

Wreszcie w sprawie oddzielenia Chełmszczyzny Rusini galicyjscy nie odbywali bliższych narad z ukraińcami rosyjskimi, a w każdym razie nie powzięli żadnych konkluzji. Ci ostatni są zdania, że nieznajomość stosunków i szkodliwość interwencji zza kordonu powinny podyktować Rusinom galicyjskim zupełną rezerwę. Enuncjacja, jaka się pojawiła w tej sprawie, była tylko odpowiedzią na enuncjację Głąbińskiego i sprostowaniem faktów historycznych i zawierała czysto rzeczowe zdanie sprawy. Nie przesądza sprawy akcja arc. Szeptyckiego, który dąży do zjednoczenia wyznawców kościoła grecko-katolickiego (zjazd w Velehradzie) i uzyskania od papieża tytułu metropoli ty wschodu.

Oto ważniejsze fakty sprawy rusińskiej i stanowiska Rusinów w oświetleniu Rusina. Informator mniema, że pogląd ten podziela większość i sfery kierownicze obozu rusińskiego. Ale nawet z radykałami porozumiano się w ten sposób, że akcji ugodowej tamować ani paraliżować nie będą, co najwyżej pójdą oddzielnie z programem własnym.

Cokolwiekby się dało powiedzieć o tych postulatach, przyznać trzeba że ton ogólny rozmowy nacechowany jest spokojem, tyle potrzebnym dla każdej akcji ugodowej, i odbiega od nuty nieprzejednanej, jaka brzmiała dotychczas w wystąpieniach prasy rusińskiej. Z drugiej strony dochodzą nas wieści, że pp. Stapiński i Leo dążą do stworzenia unji demokratycznej z wyłączeniem wszechpolaków i w rzędzie najpil niejszych spraw stawiają ugodę z Rusinami. Przy takim ukształtowaniu konserwatyści i wszechpolacy utworzyliby grupę mniejszości, unja zaś w kontakcie z Rusinami uzyskałaby przewagę. Czy plany te ziszczą się, niedaleka przyszłość okaże. Niewątpliwie jednak wobec liczebnego wzrostu posłów rusińskich i konieczności liczenia się z nimi przez rząd, porozumienie staje się postulatem wysoce aktualnym. Akcja prezesa Koła, Głąbińskiego natrafi również na konieczność wypowiedzenia się w sprawie rusińskiej i pociągnąć musi za sobą już w najbliższym czasie

---

zostawiła mnie samą, po ciemku, w łóżku, gdzie siostra moja już spała, rozkoszowałam się uczuciem wypoczynku, było mi dobrze, jak gdybym w tej chwili, zmuszona do pozostawania w mroku, ciszy i bezruchu była swobodniejszą niż w ciągu dnia całego.

Lubiłam wpatrywać się w ciemność; nie obawiałam się jej, gdyż ojciec zapewniał mnie, gdy byłam maleńką, że „dziady" i czarownice z bajek nie egzystowały nigdy, jak nie egzystuje „djabeł". Przebiegałam myślą drobne wypadki dnia: widziałam czarujący uśmiech ojca, ruch zniechęcenia rąk matczynych, odczuwałam pewien gniew na wspomnienie niektórych błazeństw moich młodszych sióstr, zastanawiałam się nad projektami jutra: zajmowały mnie: obawa egzaminów, wycieczki, książki, nowe zabawy, przyjaciółki i nauczycielki do zdobycia.

Mama kazała mi codziennie modlić się do Boga.

Pewnego dnia, kiedy byłam w drugiej klasie, usłyszałam nazwę „żydówka" rzuconą pogardliwie do jednej małej, cichej i bladej towarzyszki, siedzącej blisko mnie. Wybuchła płaczem. Nauczycielka surowo skarciła winną. Wypadek ten wprawił mnie w zdumienie, gdyż nic jeszcze nie wiedziałam o różnicy ras i religji. Lecz jeszcze bardziej uderzyło mnie jedno zdanie nauczycielki: powiedziała, że każda religja prowadzi człowieka przed Boga, wobec czego wszystkie są godne szacunku, że jedno tylko stworzenie wzbudza wstręt i pogardę, a jest nim „ateusz". Wtedy przyszedł mi na myśl ojciec mój; on był ateuszem, byłam tego pewną i to słowo słyszałam nieraz z ust jego: nie chodził nigdy do kościoła.. A więc mój ojciec dla nauczycielki, dla koleżanek, dla wszystkich ludzi był istotą godną pogardy?

Pytanie to nie opuszczało mnie przez lat kilka. Teraz ojciec mówił mi częściej o tym co uważał za odwieczne kłamstwo; mówił mi, że przed istnieniem ludzi, były na ziemi zwierzęta prawie podobne do nas, że przed ich i roślin istnieniem ziemia była niezamieszkaną i że ta ziemia jest w przestrzeni drobnym punktem takim, jakim nam wydają się gwiazdy na niebie, które są takimi samymi światami, być może zamieszkałymi przez żywe istoty. Mówił mi o tych nadzwyczajnych rzeczach z taką prostotą, że nie mogłam wątpić o nich.

Nie tłumaczył mi jednak — ani ja też nie śmiałam nigdy się pytać — dlaczego jesteśmy na tym świecie. Z tej strony katechizm szkolny był bardziej zadawalający: Bóg nas stworzył, Bóg patrzy na nas

ściślejszą wymianę zdań, a może nawet formalne układy. Istnieją wprawdzie z obu stron grupy nieprzejednane, które kwestjonują wzajemnie dobrą wolę i szczerość każdego słowa i każdego programu. Tym bardziej podjąć należy każdą okazję i każdy głos, aby spór sprowadzić na grunt spokojnej wymiany myśli. Czynimy to skwapliwie i równie skwapliwie podamy niebawem głos z obozu polskiego. Porównanie obustronnych postulatów może wytworzyć wspólny grunt dla akcji rzeczowej, porozumienia klubów i obozów. Pamiętajmy, że musimy stać na gruncie zaspokojenia słusznych praw wszystkich narodowości, o którą sami tak dawno i tak wytrwale walczymy.

E. W.

Szczęście za morzami.

W jednym z pism codziennych pojawiła się notatka p. t. „Odstraszający przykład". Mowa tam o panu Z. W. który przeszło rok temu wyjechał z żoną i pięciorgiem dzieci do Brazylji „porwany prądem emigracyjnym, który unieszczęśliwił tyle rodzin polskich" (!) i o niepowodzeniach tego emigranta polegających na tym, że mu dawano darmo ziemię lichą, na której się nie mógł utrzymać i że po roku, wydawszy kilkaset rubli na podróż, powrócił do Warszawy bez grosza. Kronika milczy, ile „groszy" Z. W. zabrał ze sobą w drogę, nie wspomina i o tym, ilu ludzi „bez grosza" znajduje się w Warszawie,choć nigdy za granicę kraju nie wyjeżdżali. Natomiast wysnuwa z danego faktu taki sens moralny: „Smutny los tego wychodźcy powinien służyć za odstraszający przykład dla tych, którzy szukają szczęścia za morzami zamiast gorliwie pracować w kraju ojczystym".

Zbytecznym byłoby wymieniać dziennik, w którym notatkę drukowano lub na karb jego tendencji kłaść morał do niej przyczepiony. Niewątpliwie bowiem zanim ten numer *Prawdy* wyjdzie z druku „Odstraszający przykład" obiegnie szpalty wszystkich pism codziennych z dosłownym powtórzeniem napomnienia i przestrogi.

Stosunek naszej opinji publicznej do emigracji wyraża się dotychczas nałogowym odruchem bezsilnego protestu zaprawionego moralizatorskim sosem. Bezwiednie i bezmyślnie szeroki ogół podlega tu suggestjom strony interesowanej, przez wrodzone lenistwo unikając zarówno zaznajamiania się z faktami jak i krytycznego ich roztrząsania.

„Należy lud od emigracji powstrzymywać" — oto milcząco a bezkrytycznie przyjęte hasło, tak zgodne z naszymi pojęciami patryjotyzmu, cnót domowych, z idealizacją *swojskości*, że stale na popularność liczyć może. Stąd też każdy sporadyczny fakt niepowodzenia emigrantów skwapliwie podawany jest do wiadomości publicznej. Natomiast rzeczywisty obraz stosunków panujących na wychodźctwie oraz wpływów samego wychodźctwa na rozwój warunków ekonomicznych kraju — zamknięty w tomach dzieł naukowych lub w grubych zeszytach kwartalników specjalnych — pozostaje zupełnie bez wpływu na opinję oraz na bieg prac społecznych.

Nawet ludzie doskonale obeznani z przedmiotem, posiadający obfity do oświetlenia go materjał, podlegają zbiorowej suggestji nastroju ogółu i bardzo wstrzemięźliwie dzielą się z nim wnioskami, do których na mocy swych badań doszli. Jeszcze przed jedenastu laty w rozmowie z pewnym podróżnikiem, który świeżo powrócił z Brazylji, gdzie warunki kolonizacji badał i w nader różowym przedstawił je świetle, słyszałem takie słowa: „Tego jednak do wiadomości publicznej podawać nie można". „Dlaczegóżby nie można do wiadomości publicznej podawać prawdy"? „Bo słusznie uczynionoby nam zarzut, że popieramy emigrację".

Czy zarzut byłby *słusznym*, o tym wątpić wolno, ale przewidywania jego były trafne. Niechęć dla emigracji spowodowała w owym czasie zamknięcie później wskrzeszonego Towarzystwa emigracyjnego we Lwowie.

Krótko przed tym przechodziło Królestwo Polskie i Galicja silny paroksyzm gorączki brazylijskiej, na którą nie znalazły skutecznego antidotum ani organy prasy, pomieszczające znacznie jaskrawsze „przykłady odstraszające" niż ostatnio cytowany, ani ambony i konfesjonały solidarnie i jednomyślnie agitujące przeciw *niezdrowym* i *grzesznym* zachciankom obałamuconego przez agentów ludu. Po kilku latach gdy odpłynęła najliczniejsza fala emigracji — unieszczęśliwiając wiele rodzin polskich"—ale przynosząc jeszcze wiele znaczniejszej ich liczbie spokój i dobrobyt, którego nie mogły zaznać w kraju, jeszcze trudniej było powstrzymywać stały choć powolny odpływ ludu za morze, gdyż listy otrzymywane od emigrantów i—silniejszy jeszcze argument—przysyłana stamtąd gotówka

---

z wysoka; Bóg, jeśli zasłużymy, pozwoli nam wejść do Nieba... Życie stanowi tylko etap przejściowy.

Lecz ileż wagi nadawali wszyscy temu etapowi! Zdawało mi się, że nikt poważnie nie mówił o piekle, wszyscy natomiast obawiali się bólu, choroby, śmierci. Co do mnie byłam gotowa wierzyć wraz z ojcem, że piekło nie istnieje: żadnego anioła, ani żadnego kusiciela nie czułam przy swym boku; kiedy byłam rozsądną, byłam taką, bo chciałam; kiedy miałam wyrzuty sumienia, byłam przekonaną, że jedynie ja byłam ich przyczyną. A więc? Od rana do wieczora matka moja, ojciec, profesorowie, robotnicy, wszyscy jednym słowem zarabiają pieniądze i wydają je: wydaje się, by jeść, je się by nie umrzeć; i mijają tygodnie, miesiące, lata, i umiera się, i ja i moje siostry i brat tak samo... Nużyło mnie to... czułam nadchodzący sen... Wiedzieć! Wiedzieć! W półśnie napełniały mózg mój słowa pełne tajemniczości: „wieczność", „postęp", „wszechświat", „świadomość". I znowu widziałam twarz jakiejś nauczycielki, zapytywałam sama siebie, czy mama chodziła na mszę w niedzielę rzeczywiście dla własnej przyjemności, czy też przez jakąś dziwną obawę ludzi; przypomniałam sobie pierwszy i jedyny raz, kiedy byłam na kazaniu majowym, jednego wieczoru, gdy ołtarz lśnił się od świec i lilji. Z ambony ksiądz wyciągał szerokim ruchem rękę i potężny głos jego spływał na klęczący tłum; mówił o cudach jakiegoś świętego, i zdawało się, że wszyscy wierzyli; w końcu organy grać zaczęły i z góry niewidoczny chór, czysta fala srebrna, zaintonowała pieśni chwały... Na wspomnienie to, zawsze drgało coś we mnie, jak w owej chwili: ogarniał mnie nagle żal, że nie umiem ani modlić się, ani śpiewać, i samotność moja wydawała mi się tym większą...

Mijało to wszakże.. Pocóż narzekać?

Byłam małą, lecz nie chciałam być oszukiwaną. Myślałam: dorosnę, a wtedy dowiem się.

Moja mała siostrzycka oddychała obok mnie spokojnie. Śniła być może o kryształowym pałacu dla swej lalki, który jej raz przyrzekłam, by mi zostawiła więcej miejsca w szarym, wspólnym łóżeczku. Nie byłam pewną, czy zdołam uczynić zadość obietnicy. Eh, będę duża! Wtedy będę również bardziej kochała siostry i braciszka; nie dam im więcej płakać; zobaczę mamę nareszcie spokojną... Teraz trzeba spać. Głowę miałam zmęczoną. Pragnęłam na chwilę przenieść się na zielony pagórek, który był moją rozkoszą, w lecie, na wsi... (D. C. N.)

obracały w niwecz a nawet w śmieszność tanie morały ilustrowane troskliwie dobieranymi przykładami.

Trudno płynąć przeciw wodzie. Walczyć ze zjawiskami w danych warunkach nieuchronnymi, jest bezmyślnym trwonieniem energji. Nie pozostaje nic innego jak dane zjawiska zbadać, ocenić, a jeśli warunków zmienić nie można, jeśli ich źródeł zatamować nie sposób, ująć je w takie formy, by możliwie najmniej strat, najwięcej zaś korzyści przyniosły.

Na tym stanowisku względem emigracji stanęła dopiero u nas garstka najświatlejszych, najtrzeźwiejszych lub najbezstronniejszych ludzi. Wynikiem tego zwrotu było wskrzeszenie Towarzystwa emigracyjnego, wznowienie wydawnictwa *Przeglądu Emigracyjnego* wreszcie bliższe zainteresowanie się sprawą ze strony polskich towarzystw rolniczych w Królestwie i Galicji i wysłanie przez nie wspólnego delegata do Brazylji dla zbadania stanu tamtejszego polskiego osadnictwa.

Ostatni zeszyt *Ekonomisty* prócz specjalnego sprawozdania p. Włodka o kolonjach polskich w Paranie podaje sporo różnorodnego materjału dotyczącego innych odłamów emigracji polskiej; *Przegląd Emigracyjny* stale dostarcza faktycznych informacji, a najwięcej ciekawych danych znaleźć można w dziełach naszych ekonomistów oświetlających położenie ekonomiczne różnych dzielnic Polski; — nie jest więc już dzisiaj niemożliwym zaznajomienie się z istotnym stanem rzeczy i oparcie poglądów na faktach, które jeszcze rozmaicie oświetlać można, lecz z którymi tak czy owak liczyć się należy.

Nawoływanie do „pracy w kraju ojczystym" musi oczywiście pozostać głosem wołającego na puszczy. Może w żadnym kraju europejskim nie ma takiego nagromadzenia różnorodnych czynników wywołujących wychodźctwo, nie ma też tak wielkiej emigracji, jak u nas. Chociaż „Polak ten między narodami słynny, że więcej niźli życie kocha kraj rodzinny" — choć nasza poezja i beletrystyka od lat wielu apoteozują to umiłowanie ojczystego zagonu — nie jesteśmy bynajmniej narodem „Ślimaków" z „Placówki". Przeciwnie, Polacy rozpraszają się dziś po całym świecie, wszędzie ich znaleźć można. Arystokracja i plutokracja szukają zagranicą zabawy, artyści sławy i dostatku uczeni katedr i laboratorjów, młodzież nauki, inteligiencja karjery, a lud pracy i chleba.

Ze wszystkich tych rodzajów emigracji, najgłośniejsze protesty, najsilniejsze przeciwdziałanie wywołują wędrówki ludu. Czy dlatego, że najwięcej straty przyczyniają krajowi? Bynajmniej.

Podczas gdy pierwsza kategorja dochody z kraju czerpane wywozi i trwoni na obczyźnie, gdy druga swym talentem lub wiedzą bogaci kulturę obcą — co jest może nieuchronne lecz bądź co bądź niepocieszające — emigracja ludu, jak to wielokrotnie stwierdzono, wpływa na podniesienie poziomu dobrobytu i kultury ludności w kraju pozostałej.

Dzieje się to na różnych drogach i w rozmaitej postaci.

Najwidoczniejszą to przesyłki pieniężne z kolonji polskich do kraju. W przeciwieństwie do tak zwanych sfer wyższych, lud polski, znaczną część pieniędzy zarobionych wśród obcych, przysyła do ojczyzny. Dr. Gargas ze Lwowa twierdzi że „oszczędności chłopa polskiego, które napływają do kraju, dokonywują tutaj przekształcenia stosunków gospodarczo-społecznych", i podaje cyfrę tych oszczędności na 100 miljonów dolarów. Olbrzymia ta suma wydaje się mało prawdopodobną, jednakże nawet bardzo skromne obliczenia na zasadzie wykazów pocztowych świadczą o zarobionych miljonach, którymi lud nasz stale zasila kraj rodzinny, a których bezwarunkowo pozostając w domu dorabiać się nie może. Prócz dolarów płynących z za morza wsiąkają również w gospodarkę krajową marki pruskie przynoszone corocznie przez obieżysasów do guberni pogranicznych. W Kaliskim istnieją całe szeregi zamożnych gospodarstw włościańskich, zabudowanych i zaopatrzonych w inwentarz z pieniędzy zarobionych na pruskich folwarkach.

Podobne zjawisko stwierdzono również i w zaborze pruskim. Żywy ruch parcelacyjny, który się tam rozwinął w ostatnich dwudziestu latach, powstrzymał emigrację osadniczą do Ameryki, ale zwiększył ruch robotników sezonowych, którzy zarobionymi na zachodzie Niemiec pieniędzmi spłacali parcele nabyte w kraju. o czym dobrze są poinformowane banki ludowe i spółki parcelacyjne otrzymujące przesyłki pieniężne od polskich robotników z nad Renu i Saksonji.

Wynika stąd, że i ta par excellence patryjotyczna ratunkowa akcja. współzawodnicząca nie bez rezultatu z osławioną komisją kolonizacyjną, w znacznej mierze powodzenie swe zawdzięcza polskiemu ludowi roboczemu i jego wędrówkom na obczyznę.

Prócz tych bezpośrednich korzyści ekonomicznych są i pośrednie. Słusznie zaznacza prof. L. Caro, że „chociaż przez czas przejściowy, emigracja jest szkołą postępu gospodarczego dla ludności i wentylem bezpieczeństwa w stosunkach społecznych."

Nasi uciśnieni agrarjusze lubią się rozwodzić nad smutnymi objawami demoralizacji mas ludowych, skutkiem wędrówek na Zachód. Gdy jednak pytaniami przyciśnięci do muru, muszą wyjaśnić co pod demoralizacją rozumieją, zawsze wychodzi na jaw, że razi ich u robotników zwiększenie potrzeb i wymagań, pretensje do wyższej płacy, lepszego traktowania, ograniczenia dnia roboczego, otrząśnięcie się z tradycyjnej uległości i pokory — wreszcie zmiana stroju, używanie zegarków, a może i osłabienie uczuć religijnych.

Na ogół biorąc wychodźctwo sezonowe najsurowiej bywa potępiane, nietylko ze względu na powyższe niedogodne następstwa, lecz że najsilniej godzi w interesy pracodawców — t. j. właścicieli ziemskich. Stały odpływ rąk roboczych w czasie najintensywniejszej pracy na roli, stały ich powrót na zimowe leże, gdy robota w polu ustaje, systematycznie jątrzy tych, dla których posiadanie taniego robotnika jest warunkiem pomyślności materjalnej.

Dlatego to nawet dziwić się nie można, że — bez względu na najwymowniejsze fakty — nasze sfery ziemiańskie i z nimi związana inteligiencja nie przestają się łudzić, iż znajdą sposób powstrzymania sezonowych wędrówek oraz że zawsze malują w czarnych barwach ich następstwa, nie troszcząc się ani o konsekwencję, ani o logikę. Nie realna potrzeba lecz „owczy pęd" wywołuje ich zdaniem ruch obieżysasów, a lud nasz z jednej strony wraca z zagranicy „rozpróżniaczony"— z drugiej zmuszony tam jest pracować ciężej i w gorszych warunkach niż w kraju.

Z takimi nawiasowymi wzmiankami spotykamy się i w artykułach *Ekonomisty*. Natomiast proste zestawienie faktów wykazuje, że polski robotnik rolny, tam gdzie jest najlepiej płatny i najlepiej traktowany, (we Francji np.) największe zyskuje dla swej pracy pochwały i uznanie, najgorszą zaś ma opinję tam, gdzie go najgorzej wynagradzają, to jest w ojczystym kraju.

(D. n.) *I. Moszczeńska.*

NA DOBIE.

Ludwik Gumplowicz.

Urodził się w Krakowie w 1838 roku i tam się kształcił; studja dodatkowe odbywał w Wiedniu. Obdarzony z natury umysłem żywym wrażliwym, rwą-

cy się do życia, młody Gumplowicz zajął się pracą dziennikarską, którą traktował poważnie i do której był gruntownie przygotowany przez studja historyczne i prawne. To też był dziennikarzem niepospolitym.

W roku 1869 nabył krakowski *Kraj* i redagował go w duchu postępowym do 1877. Był wyznawcą gorliwym filozofji pozytywistyczno-monistycznej i pozostał nim do końca życia. Jego widnokręgi umysłowe były bardzo szerokie. Upodobania naukowe wzięły w nim w końcu górę nad innymi i uczyniły zeń pierwszorzędną powagę naukową, płodnego i twórczego myśliciela.

W 1876 roku habilidował się w Gracu, w 1882 został przy tamtejszym uniwersytecie profesorem nadzwyczajnym, a w 1891 — zwyczajnym. Skończywszy lat 70 porzucił katedrę, pozostał jednak w Gracu.

Spuścizna naukowa po Gumplowiczu jest bogata i wielostronna, wymienię tu tylko ważniejsze jego dzieła: „Wola ostatnia w rozwoju dziejowym i umiejętnym", „Prawodawstwo polskie względem żydów", „Projekt Stanisława Augusta reformy żydów", „Konfederacja Barska (Korespondencja Stanisława Augusta z hetmanem Ksawerym Branickim). Prace powyższe, pisane między 1867 a 1872 rokiem, wyszły po polsku; pierwsza jest wysoko ceniona przez prawników. Następne pisał Gumplowicz po niemiecku, chcąc uzyskać katedrę i wejść w bliższą styczność z naukowym światem Europy Zachodniej. Z tych wyliczę: „Philosophisches Staatsrecht", „Recht der Nationalitäten und Sprachen in Onsterreich — Ungarn", „Rechtstaat und Socialismus", „Der Rassenkampf", „Grundriss der Sociologie", „Lehrbuch des Oesterreichisch. Staatsrecht", „Sociologie und Politik", „Allgemeine Staatsrecht."

Ostatnią większą pracą była Historja teorji politycznych.

Z wymienionych dzieł niemieckich dwa w przeróbce złożyły się na pracę wydaną po polsku p. t. „System Socjologji."

W ostatnich latach życia zajął się uporządkowaniem i wydaniem prac historycznych po ukochanym synu Maksymiljanie, który przed kilkunastu laty zginął śmiercią samobójczą.

Nie mogę omawiać tu szczegółowo całej rozległej działalności naukowej Gumplowicza, poprzestanę tylko na jego charakterystyce, jako socjologa, gdyż jako taki, zdobył sobie wszechświatową sławę.

Nikt przed nim nie zrozumiał tak głęboko, nie uzasadnił tak dobitnie odrębności socjologji od innych nauk społecznych, jej racji bytu i cech charakterystycznych. Z wielką bystrością wskazał na grupę społeczną jako punkt wyjścia socjologji, słusznie zwracając uwagę na to, że inne bardziej złożone związki społeczne są tylko wynikiem kombinacji różnych grup, że wreszcie poszczególne osobniki są także wytworem grup, a nie odwrotnie.

W poglądach swych na znaczenie grup społecznych zbliża się do Marksa, przyszedł jednak do nich zupełnie samodzielnie, różniąc się z autorem „Kapitału" w wielu innych doniosłych punktach.

Według Gumplowicza, socjologja zajmuje się tym, co jest typowe w zjawiskach społecznych.

Drugim jego zasadniczym twierdzeniem jest, że ludzkość jest wieloplemienna pod względem swego pochodzenia, że powstała w różnych miejscach globu z rozmaitych grup zwierzęcych, różnice więc rasowe między ludźmi nie są nabyte w rozwoju naszego gatunku, lecz istniały już w samych początkach jego powstania.

Trzecie podstawowe twierdzenie dotyczy powstawania państw, własności prywatnej i rodziny patryjarchalnej, instytucje te są wynikiem podboju jednych grup społecznych przez drugie. Państwo jest organizacją panowania mniejszości nad większością, dlatego te zaprowadzenie prawdziwej równości musi pociągnąć za sobą upadek państwa i anarchję. Proces rozwoju społecznego, jest zawsze ten sam i polega na walce grup społecznych między sobą dla zdobycia panowania jednych nad drugimi. Z powyższego punktu widzenia niema w systemie Gumplowicza miejsca dla teorji postępu i upadku w życiu społecznym.

Dynamiczna strona zjawisk, jest w jego socjologji prawie nieopracowana. Jedynie przewrót dokonany przez podbój został wyczerpująco omówiony. Wszystkie zaś inne przeobrażenia społeczne nie uwzględnione.

Gumplowicz spogląda na zjawiska społeczne w zbyt wielkiej, że tak powiem, odległości z góry, z punktu widzenia swej teorji. Dlatego też dostrzega tylko jedną i tę samą walkę grup społecznych a nie uwzględnia tego, że przebieg jej w różnych formach, na różnych terenach, w skutkach swych jest bardzo niejednakowy i dlatego powinien być przez socjologa w sposób odpowiedni rozklasyfikowany.

Inna jest walka grup rodowych, inna stanowych, inna klasowych, inna wreszcie międzypaństwowa. Socjolog nie może poprzestać na samym skonstatowaniu powszechnej walki grup społecznych, lecz powinien pójść dalej.

Gumplowicz nie poddał też obszernej analizie wzajemnego stosunku rozmaitych stron życia społecznego. Zwalczając słusznie sprowadzanie najważniejszych zjawisk społecznych do działalności pojedyńczych jednostek, wpadł w przeciwną ostateczność i odmówił jednostce wszelkiego znaczenia. Oczywiście jednostka wyłania się z grupy i indywidualizuje się skutkiem przecinania się grup społecznych, jak słusznie twierdzi Simmel, ale będąc wytworem społecznym, sama następnie tworzy, naturalnie w granicach możliwości, określonych przez całokształt stosunków. Najgienjalniejszy człowiek nie może samodzielnie stworzyć zupełnie nowych form życia społecznego; tylko w granicach tych form wywierać znaczny wpływ, może tylko przyczynić się do nadania pewnego specjalnego charakteru przeobrażeniom społecznym.

Socjologja ujmująca w zjawiskach to, co jest typowe, nie może zajmować się jednostkami. Tylko nauki konkretne mogą przedstawiać zjawiska w całym bogactwie ich cech indywidualnych.

Wielka jest zasługa Gumplowicza, że podniósł znaczenie podboju, jakkolwiek sporna jest do dziś kwestja, czy państwa mogą tylko drogą podboju powstawać. Jeżeli nawet tworzą się i w inny sposób, co zdaje się być pewne, to i tak wpływ walki o podbój na kształtowanie się instytucji społecznych jest wielki.

Również sprawa jedno albo wieloplemienności rodu ludzkiego jest dotychczas sporna, Gumplowicz jednak dał nam bardzo wiele do należytego zrozumienia tego problematu.

Najgłówniejszą zasługą Gumplowicza, jako socjologa, nie jest to albo inne jego twierdzenie, dotyczące zjawisk społecznych, lecz zbudowanie fundamentów socjologji.

Podstawowe poglądy prawne Gumplowicz wyprowadzał ze swej teorji socjologicznej.

We wszystkim co pisał, był zawsze sobą, uczony, oryginalny, śmiały w pomysłach, konsekwentny w ich przeprowadzeniu Można się z nim zgadzać, albo nie, niepodobna jednak nie uznać wielkiego twórczego umysłu o rozległym i wszechstronnym wykształceniu.

Gumplowicz poświęcił kilka prac stosunkom prawno-państwowym w Austrji. Z przekonań był federalistą, który za punkt wyjścia swych koncepcji politycznych brał historyczno-polityczne indywidualności, a nie narodowo-etnograficzne. Pod tym względem należał do starej szkoły.

Umarł, jak żył: z tym samym objektywizmem, z jakim badał zjawiska społeczne dalekie i bliskie,

poddał analizie krytycznej wartość swego dalszego istnienia i życia ukochanej żony wobec nieuleczalnej choroby. Doszedł do wniosku, że powinien umrzeć, więc odebrał sobie życie.

Śmierć jego jest wielką stratą dla nauki...

Społeczeństwo nasze traci w nim jednego z tych, z których dumne być może.

Nie można się powstrzymać od wyrażenia żalu, że ten uczony wielkiej miary przez lat dwadzieścia kilka był profesorem uniwersytetu w Gracu, że żaden z uniwersytetów polskich nie powołał go do siebie.

Ludwik Kulczycki.

Naganka na „ludowców".

W 33-im numerze *Prawdy* pod tym samym nagłówkiem przytaczaliśmy treść artykułów, jakie się pojawiły w *Zorzy* i *Głosie Warszawskim* przeciw kółkom Staszicowskim powiatu Miechowskiego. „Okrzyk bólu i oburzenia" p. Jana Bielawskiego, jak tego pragnął *Głos Warszawski* w artykule p. t. „Zdemaskowani" — istotnie nie pozostał bez echa! Odezwało się „echo" w *Warszawskim Dzienniku*, który artykuł *Głosu Warszawskiego* przedrukował w całości. „Okrzyk bólu" doszedł więc pod właściwym adresem.

W kilka dni później dokonano rewizji u prezesa kółka Pojałowickiego, Mateusza Manterysa, gdzie zebrano 150 listów i 22 książki — (wyłącznie legalne), toż samo powtórzyło się w Niegardowie, gdzie robiono rewizję u J. Miszczyka i Piotra Ziarki, a wreszcie u p. Zaporskiege aptekarza w Miechowie.

U p. Miszczyka znaleziono również wyłącznie legalne książki, między innymi broszurki Antoniego Szecha oraz protokół podpisany przez osoby pragnące się zapisać do Towarzystwa wstrzemięźliwości „Przyszłość".

Okazało się po bliższym zbadaniu sprawy przez delegata kółek rolniczych, że cała „występna agitacja", o którą oskarżono Kółka rolnicze, polegała na zwalczaniu pijaństwa a nakłanianiu do trzeźwości, oświaty do podnoszenia poziomu gospodarstw włościańskich przez spółki rolnicze.

Ci których *Głos Warszawski* mieni ludowcami, wietrząc w nich tajne anarchistyczne dążności, zaznaczyli swą działalność w powiecie Miechowskim przez zakładanie maślarni, urządzanie pogadanek hygienicznych, wychowawczych i rolniczych.

Na alarm uderzono wtedy, gdy instruktorka Kółek rolniczych, znana wychowanica Kruszynka, Marja Biniekówna, zjechała do okolicy i w bardzo gorących i wymownych przemówieniach zachęcała lud do pracy, trzeźwości, czystości, do starannego wychowania dzieci. Jeden z księży okolicznych słysząc ją powiedział: „gdybyśmy tak przez 10 wieków byli uczyli lud, to dziś byłby innym". Bynajmniej nie zasłoniło to Biniekówny od prześladowań ze strony ludzi niechętnych, a o wpływ zazdrosnych. Widok do głębi przejętych słuchaczy, otaczających zdolną i pełną zapału instruktorkę, zdawał się zapowiadać wielkie ożywienie działalności Kółek i ich pomyślny rozkwit. Rozwinięto przeciw nim żywą agitację na ambonach, obrzucając osoby w nich czynne ciężkimi oskarżeniami i najpopularniejszym podejrzeniem o bezbożność lub marjawityzm, nie oszczędzając i owego księdza, który sympatję i uznanie dla ich działalności okazał.

W ciągu swego objazdu w Miechowskim Marja Biniekówna została aresztowaną, co naturalnie wzmogło jeszcze żywe poruszenie wśród chłopów, którzy nie szczędzili jej objawów współczucia i pomocy. Władze zresztą stwierdziwszy, że aresztowana ma legitymacje w porządku, że działając jawnie i publicznie nie wykroczyła niczym przeciw prawu i przepisom, a do zakłócenia spokoju nie zmierzała — wypuściły ją na wolność.

Tak się przedstawia w świetle prawdy — naganka na „ludowców."

Czy po publicznym stwierdzeniu tych faktów ogół nasz zrozumie, jak głęboką demoralizację sieje wśród niego nieprzebierająca w środkach nasza ochotnicza „ochrana". Czy postara się otrząsnąć z tej sieci intryg, którą wśród niego rozsnuto dla podtrzymania zagrożonego społecznego i politycznego monopolu, ugruntowanego na ciemnocie i łatwowierności mas?

Nasz odcinek.

W numerze niniejszym rozpoczynamy w odcinku druk powieści, rozgłośnej dziś autorki włoskiej p. Sibilli Aleramo p. t. „Una donna". Powieść ta, dotykająca jednego z najboleśniejszych zagadnień współczesnych, ucisku i poniżenia kobiety, obok interesu, który wzbudza swą treścią i wielką wartością literacką, ma dla nas znaczenie z tego jeszcze względu, że przedmiot jej żywo przypomina „Dzieje grzechu" Żeromskiego, które w ostatnich czasach tak potężne wywarły wrażenie.

Obok podobieństw są różnice. „Una donna" pisała kobieta, Włoszka, „Dzieje grzechu" mężczyzna, Polak. Pomimo to w życiu bohaterek obu utworów spotyka się często nawet te same epizody, chociaż w odmiennych warunkach. Zakończenie natomiast jest znamiennie różne: Ewa Żeromskiego ginie ostatecznie, niezdolna do wyzwolenia się z upadku; bohaterka autorki włoskiej ratuje swoje „ja" z grożącego mu unicestwienia i idzie walczyć o dusze swych sióstr. Powieści Aleramo szczególną siłę i szczerość nadaje ta okoliczność, że stanowi ona cząstkę jej życia i działalności społecznej.

O autorce, tłumaczka jej powieści, p. Stanisława Gallone, Warszawianka z urodzenia, nadsyła nam garść wspomnień i wrażeń osobistych, które poniżej przytaczamy.

Redakcja.

Sibilla Aleramo.

(Ze wspomnień osobistych).

Rok temu, podczas pobytu we Włoszech, słyszałam ciągle nazwisko Sibilli Aleramo, autorki powieści „Una donna"; o książce jej rozprawiano dużo i poruszyła ona wszystkie umysły. Najpoważniejsi krytycy o książce Sibilli Aleramo odzywali się z wielkim uznaniem; zwyciężyła wszystko i wszystkich, tak jak zwyciężyć musi każde dzieło pisane krwią własnego serca.

Bohaterka Sibilli Aleramo to istota z krwi i ducha, kobieta myśląca i czująca silnie i uczciwie, kobieta walcząca w imię swego zdeptanego człowieczeństwa, wyzwalająca się z pod moralnej i fizycznej tyranji brutalnego męża, kosztem rozłączenia się z ukochanym dzieckiem, którego nie chciała demoralizować widokiem doznanych zatargów i upadlaniem swego „ja".

Z książki Sibilli Aleramo bije siła, energja i szczerość, nadewszystko szczerość, ani jeden pogląd nie jest frazesem, ani jedno uczucie — sztucznym nastrojem. Książka we Włoszech wywiera niezwykły wpływ; ma ona wielką wartość dla społeczeństwa włoskiego, gdzie większość kobiet otoczona jest jeszcze mrokiem przesądów i obłudy; gdzie te, których pragnienia są wyższe, zapatrywania głębsze, nie mają ani siły ani odwagi ich wypowiedzieć i zgodnie z nimi postępować, pod wpływem silnego wrażenia, jakie dzieło to wywarło na mnie, postanowiłam przyswoić je naszemu piśmiennictwu. W przejeździe przez Rzym zapragnęłam osobiście poznać autorkę. Sibilla Aleramo mieszka z dala od współczesnego miasta, na via Flaminia, której cisza i powaga wywołuje wspomnienia potęgi starożytnego Rzymu. Wprowadzono mnie

do obszernego cichego, zarzuconego książkami pokoju: to pracownia Aleramo. Pośród starych sztychów pokrywających ściany rzuca się w oczy kilka prześlicznych portretów kobiety, o przecudnej poważnej linji głowy. Stojąca na biurku, wśród kwiatów, fotografja jasnowłosego chłopczyka,budzi we mnie nagle wspomnienie historji bohaterki Aleramo: z zamyślenia wyrywa mnie głęboki, dźwięczny głos przedemną z życzliwie wyciągniętą na powitanie ręką, stoi wysmukła w ciemnej o prostych linjach sukni kobieta; ciężkie ciemne włosy luźno związane w tyle głowy nadają dziwną młodzieńczość i wdzięk całej postaci, budzącej od pierwszego wejrzenia ufność i szczerą sympatję.

Sibilla Aleramo przyjęła myśl przyswojenia jej książki literaturze polskiej z prawdziwym zapałem. Zna ona mało Polskę, lecz interesuje się nią szczerze, i dla Polaków ma niekłamaną, entuzjastyczną sympatję. Wyraziła żal, że literatura polska jest tak mało przyswojoną włoskiej.

Sibilla Aleramo jest jedną z pionerek feminizmu we Włoszech. Pierwsze jej artykuły drukowane były w pismach feministycznych, potym była współpracowniczką wielu wpływowych pism włoskich. W roku 1905, z własnej inicjatywy i prawie o własnych siłach założyła we wsiach romańskich szkoły elementarne niedzielne, które dziś stały się jedną z najpotrzebniejszych i najpoważniejszych instytucji.

Do roku 1907 Aleramo znaną była jedynie jako publicystka, w roku 1907 wyszło jej pierwsze, dziś już przetłumaczone prawie na wszystkie języki, nawet na japoński, dzieło: „Una donna".

Siblilla Aleramo staje w obronie każdej szlachetnej sprawy, jest zawsze tam, gdzie może przynieść pomoc, inteligiencja i szczere umiłowanie. Podczas strasznej katastrofy mesyńskiej bez wahania udała się na miejsce, by nieść pomoc cierpiącym i *Tribuna* drukowała wówczas cały szereg jej artykułów wielkiej wartości.

Stanisława Gallone.

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

Społeczne ligi nabywców.

Współczesne prawodawstwo socjalno-polityczne krajów kulturalnych nie bierze zupełnie udziału w normowaniu warunków wewnętrznych pracy w t. zw. chałupnictwie. W olbrzymiej większości państw Europy i Ameryki prawodawstwo o ochronie pracy nie dotyczy zupełnie domowego przemysłu. Lecz ostatnio w samym społeczeństwie, wśród szerokich warstw nabywców rozlicznych towarów zrodziło się dążenie do przyjścia z pomocą pasierbom prawodawstwa współczesnego — robotnikom, zatrudnionym w przemyśle domowym. Jaskrawym objawem ciągłego rozwoju tych dążności są wciąż rozwijające się „społeczne ligi nabywców", które stawiają sobie za cel również swoistą walkę z *sweating-systemem*. Pierwsza liga założoną została w New-Jorku w 1891 r. Teraz w Stanach Zjednoczonych jest 70 podobnych lig. W 1902 r. założoną została pierwsza taka liga w Paryżu, w następnych zaś latach w Anglji, Belgji, Holandji, Szwajcarji i Niemczech. W 1908 r. odbył się w Genewie pierwszy międzynarodowy kongres „społecznych lig nabywców".

Na większą uwagę zasługuje historja rozwoju niemieckiego związku nabywców. W 1907 r. (po zamknięciu wystawy przemysłu domowego w Berlinie) utworzony został związek nabywców pod protektoratem zorzy ostatniej wschodzącej gwiazdy państwa bojaźni Bożej, p. Bethmanna—Hollwega. Zadanie związku polegało na tym, by zbierać informacje co do ekonomicznych i higienicznych warunków pracy robotników w różnych przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych. Na zasadzie zebranych i dokładnie sprawdzonych informacji układano „białe listy" na które wciągano przedsiębiorstwa, dające zadawalające warunki pracy i zapewniające swym pracownikom znośny byt i życie. Następnie listy te rozsyłane są wszystkim członkom związku nabywców i wogóle komunikowano społeczeństwu, przyczym polecają one czynić zakupy w wymienionych na liście firmach i żądać wyrobów wymienionych fabryk lub warsztatów. Słowem celem „społecznych lig nabywców" jest rozwój i propaganda idei odpowiedzialności społecznej nabywców w stosunku do robotników i pracowników handlowych.

W pierwszym okresie swego istnienia berliński związek nabywców ograniczył swą działalność do wyrobów przemysłu konfekcyjnego i wyrobów spożywczych, wogóle takich gałęzi wytwórczości, gdzie najwięcej dają się we znaki złe strony chałupnictwa. W tym celu naprzykład związek, by umożliwić pracodawcom spełnienie ich bezwzględnego zadania — polepszenia warunków pracy, gorąco poleca swym członkom i wogóle wszystkim, nie czynić zakupów po godz. 8 wieczorem lub też w dni niedzielne i świąteczne. W ten sposób związek dąży do tego, by wszystkie zakłady przemysłowe i handlowe zamykano punktualnie o godz. 8 wieczorem w dni powszednie i przez cały dzień w święta i niedziele.

Związek niemiecki zdobył już w swej ojczyźnie wielką popularność i liczba jego członków wciąż się zwiększa. Ze sprawozdania za 1908 r. widzimy, iż ilość ich w roku sprawozdawczym prawie się podwoiła; prócz tego ideowo dołączyły się do nich 44 organizacje, liczące 44,000 członków. Działalność (agitacja, wydawnictwo broszur, referaty i t. d.) związek skoncentrował specjalnie w Berlinie. Od chwili swego powstania związek ogłosił 3 „białe listy". Z odbytego niedawno 2 kongresu w Berlinie dowiadujemy się, iż związek niemiecki pomyślnie i owocnie rozwija swe czynności, że posiada przed sobą wielką przyszłość, i że czynnie dopomaga do rzeczywistego polepszenia warunków pracy w tak upośledzonym dotychczas przez prawo przemyśle domowym.

Bolesław Rozstański.

LITERATURA i SZTUKA.

Włodzimierz Perzyński: **Nowele**. Lwów — 1909. (Księg. Polska.)

W stosunku do poprzednich zbiorów tegoż autora— *Nowel* nie można nazwać postępem; przeciwnie, widzimy tu raczej pewne omdlenie i zmęczenie talentu tego pisarza. Nigdy zapewne p. Wł. Perzyński nie miał lotów zbyt wysokich: było w nim jednakże pewne szczęśliwe połączenie smutku i ironji, które pozwalało wierzyć, że jego talent właśnie w tym kierunku rozwinie się na *humour* w wyższym stylu angielskim. Niektóre jego utwory zbliżały się do tego tonu. Ale oto, ironia Perz. omdlała i zmieniła się w konceptowanie warszawskie, a jego smutek zszarzał i nie wywołuje już wrażenia prawdziwego smutku, ale raczej zgryźliwego zrzędzenia. Czasami tylko widzimy w nowym zbiorze ton szczęśliwszy, zwłaszcza tam, gdzie autor ma do czynienia z wyrafinowaną podłością ludzką, jak np. w noweli *Uczeń Scherlocka Holmesa*, *W gabinecie*, albo z wielką głupotą (*Dobra opinja*, *Tęsknoty*, *Fluid*). — Nieco banalne są opowiadania o dzieciach, które właśnie w zbiorkach poprzednich miały znaczną świeżość.

Z czasów minionego ruchu są dwa obrazki (*Dwa światy*, *Majowe święto*), w których autor pochwycił pewne drobniusieńkie objawy tej chwili pełnej gromów i błyskawic. — W kilku opowiadaniach zauważyliśmy niedbałe postawienie sprawy — czyny bezzasadne lub niedość wytłumaczone, jak np. zabójstwo

dziewczyny w *Zbrodni*, niby rodzaj *perverseness* à la Edgar Poë lub samobójstwo we *Wróżbie*, wcale nie konieczne i nie wypływające logicznie ani poza logicznie z biegu rzeczy.

Wrz.

Pieśni Katorżników. Koncert pod dyr. p. Hartewelda.

Oryginalne przedstawienie dał nam p. W. N. Harteweld, muzyk szwedzki, który od r. 1885 mieszka w Rosji, gdzie słynął jako autor opery na temat z Turgeniewa pt. *Pieśń tryumfującej miłości*. Od kilkunastu lat p. Harteweld podróżował po Syberji, gdzie zbierał pieśni i melodje zesłańców, więźniów politycznych i kryminalnych, katorżników, zbiegów, brodiagów — a także pieśni miejscowych ludów: Ostjaków, Burjatów, Samojedów, Kirgizów, Jakutów i t. d. — Zebrał tego koło 200 i dużo pisał w tym przedmiocie w czasopismach rosyjskich. Dla tych, którzy bywali na Syberji albo siedzieli w więzieniach — koncert w stylu p. Hartewelda jest miłym wspomnieniem przebytej niedoli: nie mało tam usłyszą rzeczy znanych, które na właściwym tle daleko potężniejsze wywierają wrażenie.

Dla tych, co nie przeszli tego rodzaju etapów — jest to świat nowy, gdzie w brzęku łańcuchów dzwoni potężna melancholja puszcz i śnieżysk, tajg i tundr sybirskich — i więziennych krat samotnia... Słychać tu odgłosy dalekie Tobolska, Nerczyńska, Akatuja — i wszystkich więzień i kopalń sybirskich.

Koncert był ze wszech miar ciekawy, poprzedzony konferencją dyrektora. Scena dla nastroju urządzona jako turma. — Naprzemian śpiewały chóry, dobrze bardzo zestrójone, oraz soliści, pp. Oszustowicz, Siergiejew i pani Bytawej, oryginalna sybiraczka, żółtoskóra, pięknym głosem śpiewająca pieśni w językach sybirskich, a także po chińsku i ajnossku.

Chór wykonał też jedną pieśń polską, zesłańców z r.1863, w Nerczyńskich kopalniach śpiewaną.

TEATR LETNI: **U progu młodości**. Sztuka w 3-ch aktach Maxa Dreyera (z niem.).

Max Dreyer jest uczniem i naśladowcą Ibsena. Lubi on wystawiać potęgę fatum w nowożytnym znaczeniu tego słowa. I gdyby nie pewne braki zasadnicze („Der Siebzehnjährige", po polsku „U progu młodości") byłaby dziełem wielkiej piękności — i pomimo przypomnień Ibsenowskich (a częściowo Dostojewskiego: „Wyrostek)"—posiadałaby nie mało wdzięku i oryginalności. Jednakże, skutkiem wprowadzenia pewnych pierwiastków przypadkowości — fatum się rozwiało i zasadniczy cel autora został zniweczony. Młody Fred Schlethow, uczeń szkoły wojskowej, przybywa na wakacje do domu rodziców na wieś; wraz z nim jego kuzynka Eryka — duchowa krewna Hildy z „Mistrza Solnessa" — dziewczyna pół szalona, bezwzględna w żądzy prawdy życia i samolubnie dążąca do swych celów. Ojciec jego, pułkownik, człowiek w sile wieku, piękny zdobywca serc niewieścich z radością wita chłopca, ale zarazem lęka się tej dziewczyny. Lęka się, bo wie, jakie ona względem niego żywi uczucia: Eryka go kocha, a jemu wszelkie wzruszenia pod grozą ślepoty są zakazane. Ta zewnętrzna *przypadkowość* wiąże autora: w pierwszym akcie Max Dreyer wyjaśnia tę sprawę (Schlethow spadł z konia— i jako wynik została możliwość ślepoty). Owóż stało się, że młody Fred Schlethow zakochał się w Erycce, ona zaś kocha jego ojca i tragiczny motyw rywalizacji między ojcem a synem kończy się tym, że młodzieniec *przypadkowo* usłyszał, jak się jego ojciec zmawia na schadzkę z dziewczyną — i widział, jak się namiętnie całują. To wytrąciło z równowagi prostą i naiwną duszę chłopca: nie widzi on dla siebie wyjścia—i kończy samobójstwem w tej właśnie altanie, w której miał się spotkać jego ojciec z Eryką. Ojciec dowiedziawszy się o tym — pod wpływem wzruszenia *ślepnie*.

Pewien sentymentalizm niemiecki nadaje sztuce tej cechę specjalną: Eryka jedna — jeszcze zawsze figura ibsenowska — ogłasza prawdę o swej miłości małżonce Schlethowa. Ta zaś nieco koturnowo przybiera pozy bohaterskie — i aby osłabić straszne wrażenie śmierci syna — chce go rozradować wieścią, że Eryka zostanie jego żoną Wszystko to daje nam akt trzeci, prawie niepotrzebny, gdyż właściwie cała historja kończy się w akcie II-gim. Akt III-ci jest potrzebny tylko dla charakterystyki Eryki. Zresztą figury są dobrze narysowane i zarówno ojciec (p. K.-Zawadzki) jak i syn (p. Brydziński), jak nie mniej i Eryka (p. Dulębianka).

Główne osoby sztuki to oczywiście oboje dzieci: młoda, szalona, świadoma tajemnic miłosnych Eryka, poszukująca wrażeń silnych i dusz dojrzałych — oraz naiwny, dziecinny jeszcze zupełnie, życia nierozumiejący chłopiec, którego czyste i proste serce narażone zostało na najtragiczniejszą kolizję — z rodzonym ojcem. Bądź jak bądź sztuka nie banalna, dająca wzruszenia głębsze, zarówno liryczne jak dramatyczne. Zapewne, że tu niemało wzięto z Ibsena, ale w każdym razie wzór wybrany dobrze.

Rzecz grano doskonale: p. Knake-Zawadzki przypominał chwilami Leszczyńskiego z najlepszych czasów, p. Brydziński był wybornym chłopcem 17-letnim, a p Dulębianka znakomicie, choć nerwowo i nierówno — oddała walkiryczną postać Eryki. Mniej wyraźne role matki (p. E. Pilawa) i dziada (p. W. Rapacki), znalazły dobrych wykonawców.

TEATR MAŁY: **Szubrawiec**. Sztuka w 3-ch aktach Czesława Ksawerego Jankowskiego.

Jest to, zdaje się, pierwszy występ młodego literata na scenie, utwór też jest odpowiednio naiwny, ułożony językiem banalnym,bez dowcipu, oparty na zestawieniu faktów błahych, a których rezultat usuwa istotny tragizm. Ściśle biorąc sztuka tam się kończy, gdzie właśnie powinna się zaczynać. Jan Zatora, malarz otrzymuje na konkursie 3,000 rb. nagrody. Ci i owi radzą mu, aby jechał do Włoch; tymczasem on postanowił tę sumę wypłacić wierzycielowi ojca swego, który zginął samobójczo, nie mogąc uregulować pewnych należności. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie panna Aniela, córka pewnego prezesa, w której się kocha Zatora, a której brat Adam jest karciarzem i utracjuszem. Aby się odegrać rozbił kasę, zabrał z niej 3,000 rb. które znowu przegrał. Jutro albo zostanie ogłoszony szubrawcem, albo musi „w łeb" sobie palnąć. Nikt mu pieniędzy dać nie chce; tylko na Zatorę już liczy Adam, który wie o uczuciach malarza dla siostry. Po krótkim wahaniu Jan oddaje 3,000 rb. Adamowi. Zjawia się potym wraz z ojcem Aniela, której portret robi Zatora — ale w trakcie tego przychodzi lichwiarz po swoje 3,000 rb. A gdy dłużnik mu pieniędzy nie oddał, rozgniewany wierzyciel zowie go szubrawcem!

Co usłyszawszy panienka z papą ucieka. Zasłona spada.

Ale po skończeniu sztuki p. Aniela powiedziała o tym wszystkim bratu, brat jej wyjaśnił tajemnicę, panna aż spłakała się ze wzruszenia, a wiedząc że Jan Zatora, jako modny malarz będzie miał niezłe dochody — wyszła za niego za mąż — i ja na weselu byłem, miód i wino piłem...

Wogóle dramat rozwiał się i nie było go wcale. Pierwszy tedy występ teatralny p. Cz. Ks. Jankowskie-

go nie był udatny. Figury wszystkie bardzo blade, nawet lichwiarz, który jest nieco żywiej podkreślony; niewyłączając Baraszowa, który nie wiadomo poco krąży po scenie jako „moskal" i gada osobliwym językiem Kiedy wszyscy radzą Zatorze, jechać do Włoch on radzi nad Dniepr albo na Krym, tu stepy, tam morze. Na co jeden z malarzy: — A chcesz dziegciu, jedź do Moskwy!

Cenzura była tak złośliwa, że aby skompromitować autora, ten niesmaczny dowcip przepuściła swobodnie. Również niezręczne są dowcipy o „serdelkach z czekoladą" i t. p. *muchowatości.*

Co można wróżyć o autorze, niewiadomo. Zdaje się, że mu brak poczucia wielkich konfliktów, a człowiek jest u niego bezbarwny i pozbawiony fizjonomji. Karykatura (np. baron) bardzo gruba. Żadnej konieczności tych zdarzeń, jakie widzimy na scenie nie masz.

Grano możliwie dobrze blade figury autora. Artyści starali się wlać w ich żyły choć trochę krwi. P. p. Zieliński, Lipczyński, Noskowski, Czeremurzyński, a nadto p. p. Bartoszewska, Janecka, Mila Kamińska, Kleczyńska — umiejętnie podtrzymywali wszystkie ciężary *Szubrawca.*

A. L.

TEATR LETNI: **Śpiew łabędzi.** Komedja w 3-ch aktach, Jerzego Duvala i Ksawerego Roux.

W sztuce współczesnej nastąpiło jakieś pomięszanie gatunków — jakieś odwrócenie wartości narażające na ciągłe niespodzianki.

Afisz ogłasza taniec bosonogiej tancerki, sensacja pociąga widzów, którzy — o dziwo! wychodzą pod całkiem innym wrażeniem niż to, po które przyszli. „Reforma" Izadory Dumcan wyidealizowała taniec, uczyniła go sztuką piękną w wyższym stylu. Taka np. wdzięczna i świeża jak kwiat p. St. Dąbrowska — wywołuje nastrój poetyczny, czysty, prawie podniosły jak rzeźba grecka, jak muzyka Schumana. Równocześnie scena dramatyczna darzy nas wrażeniami, których zwykło się szukać w operetce lub w kabarecie. Nazywa się to komedją — ale wcale komedją nie jest. Nie jest też w ścisłym znaczeniu farsą, gdyż jest zbyt rozwlekłe i ciężko zrobione. Jestto po prostu „article de Paris",—przedstawienie na 3 akty posiadające kilka ról popisowych, kilka scen dowcipnie pomyślanych i sprytnie rozwiniętych, wynagradzających widzowi nie ciekawe zawiązywanie węzła komedjowego w akcie 1-ym i całkiem niedbałe rozplątywanie go w 3-im.

Margrabia de Sambré po długiej i burzliwej karjerze Don Żuana zapragnął dla siebie nowej roli statecznego ojca, żyjącego wyłącznie dla szczęścia córki. Nie przeczuwał jakie ciężary nałożą na jego barki obowiązki ojcowskie. Oto musi ratować szczęście małżeńskie Simony poślubionej uczonemu; wiadomo zaś że ludzie uczeni mają pojęcie o wielu rzeczach o których się margrabiom nie śniło, lecz na punkcie miłości w porównaniu do nich są nieukami i niedołęgami. Nie przeszkadza im to jednak miewać miłosne aspiracje w niedozwolonym kierunku, zwłaszcza gdy jakaś piękna sawantka, jak Jessy Cordier — zechce dla dobra nauki eksploatować kieszenie i mózgi kochanków przy pomocy znanych sztuczek niewieścich. Chcąc wyrwać zięcia ze szpon tej „naukowej kokoty", margrabia zajmuje jego miejsce. Rozwija w tym celu całe wirtuozostwo starej, znakomitej szkoły uwodzicieli z czasów drugiego cesarstwa i okazuje się, że żadne nowe wynalazki i odkrycia nie mogą się mierzyć z klasycznym mistrzowstwem lowelasów starej daty. Widzowie mają sposobność sprawdzić to w akcie drugim, gdzie *metoda* jest demonstrowaną ze wszelkimi szczegółami począwszy od introdukcji z kolacją i szampanem, aż do gaszenia światła — wreszcie nawet regulowania rachunków w akcie trzecim.

Rzecz kończy się ku ogólnemu zadowoleniu z należytą korzyścią zarówno cnoty, jak wiedzy. Mąż Simony, odpalony przez teścia od ponętnej kochanki, dochodzi do wniosku, „że zawsze kochał tylko swą żonę". *Ognisko Naukowe*, miesięcznik redagowany przez p. Jessie Cordier — a opierający swe istnienie na miłostkach współpracowniczek, zyskuje poważny zasiłek w formie „prenumeraty na całe życie" od pana margrabiego — ten ostatni zaś mocno sfatygowany swym ojcowskim poświęceniem, które było „jego śpiewem łabędzim", jedzie wypocząć nad szkockimi jeziorami, złożywszy przedtym ostatni ojcowski pocałunek na czole tej, którą żegna lirycznym wykrzyknikiem „moja ty ostatnia zdobyczo"! (oh! polszczyzno!).

Publiczność jest także zadowolona; świetnie odegrany duet Leszczyńskiego i Pichorówny w akcie drugim stanowi dla niej dostateczne odszkodowanie za wysłuchanie sztuki — zresztą wcale nieźle działającej na humor i apetyt.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Goniec Wielkopolski* donosi:

Centralne Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskim zaprosiło — jak donosi „Dz. Pozn." — w d. 28 bm., jako dzień trzydniówki wydziały Kółek, patrona spółek poznańskich i zachodnio-pruskich, ks. prałata Wawrzyniaką z odczytem na temat *„O drobnym kredycie i pośrednictwie handlu dla rolników."*

Ponieważ duchowni nie otrzymują bez zezwolenia ministra spraw wewnętrznych wizy pasportu — wniosł szan. prelegient za wskazówką Towarzystwa warszawskiego prośbę w języku rosyjskim o pozwolenie przejazdu granicy — a Towarzystwo przedstawiło punkty wytyczne wykładu odnośnym władzom, nie wątpiąc ani chwili, że pozwolenie paszportowe bez trudności udzielone zostanie.

Po różnych pertraktacjach z kancelarją warszawskiego gieneral-gubernatora i telegraficznych zapytaniach w ministerstwie, nadeszła odpowiedź na wniosek rosyjski *w języku niemieckim* od cesarskiego *rosyjskiego* gieneralnego konsulatu w Gdańsku, wedle którego: „Das Bittgesuch um die Erlaubniss im Monat August nach Czenstochau reisen und dort auf der landwintschaftlichen Ausstellung einen Vortrag halten zu duerfen, vom Kaiserlich Russischen Ministerjum des Inneren abschlaeglig beschieden worden ist." (Prośba o pozwolenie na przyjazd w sierpniu do Częstochowy i wygłoszenie tam odczytu na wystawie rolniczej została przez cesarskie rosyjskie ministerjum spraw wewnętrznych odrzucona.

Sam fakt zakazu wygłoszenia odczytu nie dziwi nas wcale, bo wszakże wogóle zabroniono wszelkich wykładów na wystawie Częstochowskiej — wszak uświadamianie klas pracujących nawet w kwestjach tyczących się rzemiosł, może być groźnym dla całości państwa, a zagadnienia ekonomiczne przedstawiają zbyt wiele drażliwych stron. Jednakże owa odpowiedź niemiecka, udzielona ks. Wawrzyniakowi, daje dużo do myślenia. Czyżby rosyjski język przestał być urzędowym? Wreszcie tak w tym wypadku jak i w wielu innych objawach reakcji łatwo odgadnąć nieustającą podziemną robotę pruską.

* *Dziennik Powszechny* z d. 23 b. m. podaje ciekawe uwagi lwowskiej *Gazety Narodowej* o odezwie Bolesława Prusa do Czechów, przysłanej podczas bytności gości naszych w Warszawie. Jak wiemy nestor naszych powieściopisarzy, pochwalając Czechów za ich praktyczną

pracę i zabiegliwość około dobrobytu swego narodu, radzi nam iść za ich przykładem zamiast bawić się w politykomanję, co my stale czynimy. W tym celu mówi „należy posyłać na praktykę do Czech ludzi wszelkich zawodów, ze wszystkich powiatów. Niech jedzie tam drobny rolnik i bogaty ziemianin, rzemieślnik i przemysłowiec, kupiec, nauczyciel, ochroniarka i t. d”.

To utylitarne zapatrywanie Prusa, komentuje *Gazeta Narodowa*, mówiąc, że wielki czas abyśmy przestali ślepo naśladować inne narody; szukaliśmy dla siebie wzorów u Francuzów, Niemców, Włochów, wreszcie teraz stawiają nam za przykład Czechów, a „małpiarstwo” to jak się wyraża *Gazeta Narodowa* jest jedną z naszych wad narodowych, tamujących rozwój samodzielności. Drugą wadą jest dziwna skłonność do niewolniczego płaszczenia się przed kimś, owo „sclavus saltans”, które jest atawistycznym dziedzictwem po dawnych Słowianach, żyjących niegdyś w niewoli u innych narodów. Wreszcie entuzjazm wybucha u nas przy byle jakiej okazji i gaśnie równie prędko jak słomiany ogień — nie podsycany nieraz żadną głębszą przyczyną. Cieszymy się nadmiernie, okazaną nam nawet odrobiną sympatji, choćby najbanalniejszej — podziwiamy w innych to samo, czego nawet u siebie nie usiłujemy ani dostrzedz ani poznać dokładniej.

Powyższe uwagi *Gazety Narodowej* rozwija *Dziennik Powszechny*:

> Z wyliczania wad i cnót narodowych wysnujemy w końcu pewne prawidła. Nie wynika z tego bowiem, cośmy powiedzieli, jakobyśmy byli przeciwnikami sojuszu polsko-czeskiego. Owszem. Ale powiedzmy Czechom: Chcecie panowie założyć fabryki w Częstochowie czy w Łodzi, pozwólcie i nam założyć polskie w Pradze. Chcecie, żebyśmy wasz piękny język szanowali, pozwólcie naszym dzieciom w szkołach na Morawie uczyć się po polsku.
>
> Sojusz polsko czeski powinien był już dawno się zjawić, ale i ten sojusz nam nie pomoże, jeżeli z wad naszych się nie wyleczymy. Jeśli się sami pilnować nie będziemy, to bracia Czesi wyzyskają nas nie gorzej od Niemców.
>
> „Prima charitas ab ego.“ Czesi znają tę zasadę, ale nam do poznania korzyści z niej płynących dużo brakuje. Rzadko tylko w czynach bohaterskich od tej zasady odstępować się powinno. W sprawie zaś sojuszu polsko-czeskiego nic nas nie upoważnia do tego, byśmy wykonywali taki czyn bohaterski, jak hrabina Mierowa przez darowiznę rządowi pałacu w Wiedniu. Chciała ona widać naśladować historycznego Skarbka i jego sławne: „Idź złoto do złota.“ Bliższa jednak koszula ciała, zatym budujmy w Polsce polskie fabryki, czyńmy dary magnackie ochronkom, szpitalom, szkołom, bogaćmy się właśnie na wzór Czechów. Że Czesi, bracia nasi, po utracie swej szlachty i po wiekowym letargu potrafili jako naród zmartwychpowstać, za to im cześć i sława! Chcemy być z nimi, ale jak wolni z wolnymi, równi z równymi.

* Polskie Towarzystwo Emigracyjne istniejące już od dłuższego czasu we Lwowie, przed kilku miesiącami przeniosło siedzibę swą do Krakowa i nadal wydaje dwutygodnik, *Polski Przegląd Emigracyjny*, poświęcony sprawom naszego wychodźtwa.

Z ostatniego numeru dowiadujemy się, że w Sierpniu wyjechała do Francji partja górników, złożona ze 100 ludzi, pozostających dłuższy czas bez pracy w Zagłębiu Dąbrowskim. Utrudnienia czynione w Prusach Polakom skłoniły ich do szukania pracy w innych krajach, Polskie T-wo Emigracyjne przeprowadziło korespondencję z francuzkimi kopalniami, które zgodziły się przyjąć na próbę powyższą liczbę górników — wraz z nimi wyjechała do Francji partja robotników rolnych z Galicji. — W tym numerze znajdujemy ciekawe szczegóły o dawniejszym i obecnym stanie polskiej emigracji w różnych okolicach Ameryki:

> „Stan obecny naogół charakteryzuje się przedewszystkim niedostatecznym zorganizowaniem wychodźców w narodową grupę, mającą wzajemne poczucie.
>
> Przeciętna kultura Polaków amerykańskich niedorównywa kulturze Amerykanów. Podrzędne stanowisko, jakie zajmują w tym społeczeństwie, nie odpowiada ilości Polaków — ponieważ jest ich dziś około 3 miljonów.
>
> Nie tworząc silnej grupy narodowościowej, Polacy obecnie wynaradawiają się prędzej, niż we wszystkich trzech dzielnicach“.

Dawniejsza emigracja, aż do ostatnich lat, miała przeważnie charakter ekonomiczny — całe zastępy biedaków, nie mogących zarobić na chleb w kraju, wędrowała za morze, wśród strasznych warunków, oddana na łup wyzyskiwaczy agentów; — część z nich szła na rolę, inni znajdowali pracę w fabrykach.

W ówczesnych emigrantach charakterystyczną była nieufność do rodaków inteligientów, którzy rekrutowali się przeważnie wśród szumowin własnego społeczeństwa, uciekających z kraju przed sprawiedliwością. Ci oczywiście nie przebierali w środkach oszukiwania nieuświadomionych szeregów.

Za to niepodzielny wpływ na polskie zastępy robotnicze zyskali sobie księża, którzy jak zawsze i wszędzie wyzyskiwali ich w niemożliwy sposób na cele Kościoła, pobierając wysokie opłaty nietylko za posługi duchowne, ale nawet za wejście do kościoła. W parafji św. Stanisła Kostki, liczącej 50 tys: parafjan, zapisany był dochód 280 tys. dolarów! Dalsze obliczenia wykazały, że społeczeństwo polskie w Ameryce złożyło na ręce księży 10 miljonów dolarów. Z tych sum, Polacy otrzymują posługi duchowne, szkoły parafjalne i gmachy kościelne.

Pieniędzmi tymi rozporządzają wyłącznie księża, a gdy niedawno w Milwaukee parafjanie chcieli zaprowadzić kontrolę tych sum, duchowieństwo energicznie zaprotestowało. Dość często obecnie wytaczane bywają księżom w tych sprawach procesy sądowe.

Dla sprawiedliwości, dodaje autor artykułu p. dr. Jul. Szymański, nadmienić trzeba, że obok tych wyzyskiwaczy, znajdują się wśród księży jednostki, zasługujące na ogólne uznanie.

Obecnie stosunki uległy pewnej zmianie: jakkolwiek i dziś jeszcze klerykalizm panuje wśród emigrantów, wciskając się wszędzie, nawet do szkół polskich, tak dalece, że niedawno wydalono nauczyciela tylko dlatego, że pozwolił sobie naukowo wytłumaczyć dzieciom pochodzenie piorunów i błyskawic — i to już opiekunom szkoły wydało się zbyt liberalne.

Duchowieństwo dotychczas przypisuje sobie wyłączne prawo do wszelkiej działalności oświatowej i społecznej, jeśli coś nie wyjdzie z ich inicjatywy, bywa przez nich bojkotowane, przez ambonę i konfesjonał.

Solą w oku tamtejsaym księżom było zorganizowanie Związku Narodu Polskiego w Ameryce, który jakkolwiek stoi na gruncie katolickim, ma jednak względnie liberalne zasady. Doszło nawet do bardzo przykrych zajść — aż w końcu Zw. Nar. Pol. postanowił usunąć kler od udziału w życiu publicznym, co oczywiście wywołało jeszcze większe represje.

W ostatnich czasach pojawił się jeszcze radykalniejszy opór świeckiej władzy kościoła: robotnicy zorganizowali się w Związek Socjalistyczny, mający już obecnie dwa dzienniki. — Wpływ kleru został zatym znacznie ograniczony, a życie społeczne popłynęło normalniejszym biegiem.

Prawdziwą plagą emigrantów Polaków są szynki, gdzie odbywają się wybory, załatwiają umowy o sprzedaż i kupno, oraz wszelkie publiczne i prywatne sprawy — są one przytym niejako salonem towarzyskim, co pociąga za sobą fatalne skutki: ludność demoralizuje się, a działalność amerykańskich prohibicjonistów, zabraniających sprzedaży napojów wyskokowych jest niezmiernie utrudnioną. Wśród Polaków nie brakuje też wyzyskiwaczy agentów, którzy specjalnie przyjeżdżają, by w mętnej wodzie łowić znaczne zyski wśród naiwnej braci. To samo da się powiedzieć o kupcach Polakach, którzy pod płaszczykiem patrjotyzmu za droższą cenę sprzedają rodakom towar o wiele gorszy niż kupcy Amerykanie i żydzi. — Robot-

nik Polak, uważany jest ogólnie za mniej zdolnego, niż miejscowy, a co zatym idzie pobiera niższą płacę, nawet w tych fabrykach, gdzie zwierzchnikiem, czy właścicielem jest Polak.

Są to jak widzimy niewesołe stosunki; — niewątpliwie z czasem Związek Narodowy Polski położy koniec temu, a dowodem, że są jednostki gorąco oddane pracy społecznej, jest list dr. St. Kłobukowskiego, umieszczony w tymże numerze *Przeglądu* — z którego dowiadujemy się, że w czerwcu r. b. w Candido de Abreu w Paranie zostało zawiązane na tamtejszej kolonji polskiej Towarzystwo „Oświata" które ma na celu założenie szkoły polskiej i czytelni w własnym gmachu, mającym być wkrótce pobudowanym. Dr. St. Kłobukowski zachęca do organizowania się w związki tamtejszych Polaków, którzy sami sobie wywalczać muszą stanowisko, gdyż na niczyją pomoc rachować nie mogą.

KRONIKA.

— Wedle statystyki, podanej przed *Nową Ruś*, w ciągu miesiąca lipca skazano na śmierć 87 osób, stracono 26. Ogółem od początku 1909 r. do 31 lipca st. st. stracono 336, skazano na śmierć 808 ludzi.

— Powieściopisarka angielska, miss Mansfield, odbyła podróż przez środkową Afrykę w kierunku od Kapstadtu do Kairu, przebywając dzikie miejscowości oddalone o kilka tygodni drogi od wszelkich ognisk lub oaz cywilizacji. W wyprawie tej trwającej 218 dni towarzyszyło jej tylko dwuch afrykańskich tragarzy, którzy prócz pakunków odważnej „miss" musieli niekiedy nosić ją samą, gdyż odważna podróżniczka częścią wprawdzie podróżowała pieszo, ale częścią w lektyce. Służyli jej oni również za tłumaczy, gdyż miss Mansfield nie zna żadnego z narzeczy afrykańskich. Naturalnie świat podziwia odwagę, energję, wytrwałość na trudy sławnej Angielki — nie wspominając słowem o afrykańskich tragarzach.

— Jak donoszą pisma rosyjskie bogatsze kopalnie mineralne Uralu wciąż przechodzą w ręce cudzoziemców. Najbogatsze pokłady platyny sprzedane zostały kapitalistom francuskim. Inne przedsiębiorstwa górnicze znajdują się w położeniu krytycznym.

— *Nowa Ruś* donosi, jakoby rząd zamierzał utworzyć uniwersytet w Wilnie.

— Związek narodu rosyjskiego na ostatnich swych zebraniach postanowił przed otwarciem sesji Dumy ogłosić „wszechrosyjski" protest przeciw obecności posłów z opozycji w Izbie państwowej i domagający się wypędzenia ich z Rosji. Wobec związku n. r. na nic się nie zda legitymować się jako „opozycja Jego Cesarskiej Mości". Nie powinno być opozycji — i koniec.

— Przywódca monarchistów kijowskich, Józefowicz, w gazecie *Ziemszczyna* wzywa organizacje monarchiczne do zbiorowego protestu przeciw rewizycie Anglików i uprzedza nieproszonych gości, że mogą w Rosji doznać niezbyt gościnnego przyjęcia.

— Zamknięto w Petersburgu kasę literatów, która istniała jeszcze przed reformami, służyła wyłącznie ekonomicznym zadaniom i miała w gronie swych członków ludzi zajmujących wybitne stanowiska w ministerjum oświaty, instytucjach naukowych, na katedrach uniwersyteckich. Podobno koła rządowe zamierzają oddać pod sąd członków „komisji pomocy w wypadkach nadzwyczajnych". Krąży też pogłoska, że kasę zamknięto by jej prezesowi Kuźmin-Karawajewowi uniemożliwić ubieganie się o mandat przy zbliżających się wyborach posła z Petersburga. Byłby to fakt jedyny w swym rodzaju, jeśliby cała instytucja miała paść ofiarą kampanji wyborczej.

— Dla pokrycia wciąż wzrastających niedoborów w skarbie postanowiono wprowadzić kilka nowych podatków, mianowicie ma być opodatkowanym kapitał prywatny wypożyczany pod zastaw nieruchomości lub zabezpieczony na nieruchomościach. Oba te projekty przeszły już przez radę ministrów i zostaną przedłożone izbom ustawodawczym do zatwierdzenia.

— W kwestji reformy sądów lokalnych grupa pracy podjęła obszerną ankietę, której dotychczasowy rezultat podaje do wiadomości poseł Bułat. Prawie wszystkie odpowiedzi są ze sobą zgodne w zasadniczych punktach. Domagają się one 1-o Zniesienie sądów gminnych i sądów naczelników ziemskich. Obierania sędziów na zebraniach gminnych przez wszystkich mieszkańców gminy bez różnicy płci i wyznania. 2-o Cenzusu naukowego polegającego na ukończeniu średniego zakładu naukowego, natomiast przeciwne są cenzusowi majątkowemu. 3-o Zniesienia opłat sądowych, szybkości decyzji i obierania sędziów blizkich ludności miejscowej.

— Wydział lekarsko-sanitarny ministerjum oświaty podaje między innymi do wiadomości statystykę samobójstw wśród młodzieży szkolnej z r. 1908-go. W roku tym spełniono 83 samobójstwa w czym 64 przypada na uczniów, 19 na uczennice. Najwięcej samobójstw przypada na petersburski okręg naukowy, następnie na kijowski. Co do przyczyn samobójstwa to najliczniejsze wypadki przypisują pomięszaniu zmysłów, następnie okolicznościom rodzinnym, dalej pobudkom romantycznym. Liczba samobójstw na tle przyczyn czysto szkolnych zmniejszyła się w porównaniu z rokiem zeszłym z 7 na 2. Naturalnie nie należy przywiązywać wagi do tych komentarzy. Czynniki składające się na zjawisko tak anormalne jak samobójstwa dzieci z ławy szkolnej nie są nigdy tak proste, widoczne, jednolite — by je cyframi statystycznymi ująć i wyrazić można. Prócz tego z bardzo zrozumiałych powodów statystyka sporządzana w szkole zawsze ma tendencję do zacierania faktów obciążających odpowiedzialnością system szkolny, a szuka chętnie źródeł złego we wpływach domowych, obciążeniu dziedzicznym, lub chorobie.

— Urzędowe wiadomości z placu boju pod Melillą o zwycięztwach wojsk hiszpańskich, okazują się fałszywymi. Korespondent angielskiej *„Daily Telegraph"* donosi że położenie armji okupacyjnej w Ryfre staje się coraz cięższym. Gienerał Marina dotąd wcale nie rozpoczął wielkiego ataku, lecz zażądał całej dywizji posiłków, których wysyłanie na plac boju przedstawia poważne trudności. Liczba zbuntowanych nieustannie wzrasta i nie można się spodziewać prędkiego ukończenia kampanji. Atak rozpocznie się prawdopodobnie od strony morza. Wszelka ofensywa na lądzie jest prawie niemożliwą, ze względu na teren górzysty, doskonale opanowany i wyzyskiwany przez Kabylów. Hiszpanja musi zebrać armję co najmniej z 50 tysięcy aby stawić skutecznie czoło rewolucjonistom, którzy są zdecydowani na największe wysiłki.

— Rząd hiszpański, upatrując powód rewolucji w oświacie ludu, zamknął obecnie 94 szkół ludowych.

— W Terjokach toczy się sprawa o zabójstwo Herzensteina przeciw oskarżonym członkom związku narodu rosyjskiego. Sąd żąda osobistego stawienia się prezesa związku Dubrowina.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Justyn Feliks Gajsler: „Przeszłość Chorwatów". Część II zeszyt II. Cena kop. $37^1/_2$. Warszawa, skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym D-ra Józefa Mianowskiego.

— Kazimierz Kujawski: „Gdzie i czego można się u nas nauczyć"? Wydane nakładem Komitetu Wystawy Przemysłowo-Rolniczej w Częstochowie r. 1909. Warszawa, druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego.

— Antoszka (Smiszkowa): „Opis Czech", (K. d. 141) 15 k. „Krótka historja Czech", (K. d. w. 44) 30 kop. „Podręcznik języka czeskiego", (K. d. w. 102) 25 kop. „Działalność kobiet polskich" (K. d. w. 102) 20 kop. Wy dane nakładem M. Arcta w Warszawie 1909 r.

SPROSTOWANIE: W Nr. 32 *Prawdy* w artykule O historji Polski prof. Pogodina w szpalcie 2-giej, wierszu 19-ym od dołu powinno być: „A jednak wszystko powyższe *można* zrozumieć" „wszystko powyższe *moglibyśmy* zrozumieć." W szpalcie zaś 1-ej w wierszach 4 i 6-ym zamiast *trudno* — powinno być *nudno*.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.